PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

GRUDZIEŃ 2003 | ISSN 1429-4494 | NR 9 (94)/03 ROK XI



Wśród bicia dzwonów
i w blasku niezliczonych świec
płyną chóralnie
śpiewane kolędy...

Święto książki

„Naturalne związki organiczne" i jej autora prof. Aleksandra Kołodziejczyka

2 listopada 2003 r



Krystyna Łubieńska interpretuje fragmenty książki



Zamyślony Autor



Słowo JM Rektora PG o autorze



Sala wypełniona po brzegi



Występy artystyczne okrasiły promocję



W hołdzie uwielbienia



Kolejka po autograf była bardzo długa

Czytaj w nr. 8/2003 str. 33

Zespół Redakcyjny życzy wszystkim Czytelnikom PISMA PG, aby Święta Bożego Narodzenia przyniosły radość z tego, co jest, nadzieję na to, co przed nami, uśmiech i życzliwość na każdy dzień nadchodzącego roku.



„Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej Zespołu Redakcyjnego. Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.

Adres Redakcji
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
pok. 205, Gmach Główny B,
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny
Waldemar Affelt (sekretarz),
Henryk Krawczyk, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Joanna Szłapczyńska,
Jakub Uniejewski, Stefan Zabieglik

Opracowanie techniczne i typograficzne
Skład komputerowy w programie Page Maker
Ewa Niziołkiewicz
Zespół ds. Informacji i Promocji,
e-mail: inprom@pg.gda.pl

Opracowanie okładki
Ewa Niziołkiewicz
Foto: 1.i 2. str. okładki – Jerzy Kulas,
Foto: 3. str. okładki – Samorząd Studentów PG,
Foto: 4. str. okładki – Antoni Filipkowski

Stała współpraca
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szłapczyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 20 listopada 2003 r.

Spis treści

Radosne Boże Narodzenie – tradycje i nieco historii ze świata kolęd



Tradycyjnie - w grudniu myśli nasze zaczynają krążyć wokół świąt Bożego Narodzenia. Formują się one w pewien ciąg, taki sam co roku. Wyobraźnia rysuje w pamięci zwyczajną stajenkę, Gwiazdę Betlejemską, która wiodła do niej Trzech Króli z darami dla nowo narodzonego Dzieciątka, ubogich pasterzy, zieloną choinkę, wieczerzą wigilijną z opłatkiem, pasterkę, oraz przede wszystkim anielskie melodie kolęd, w których brzmi radość wszelkiego stworzenia.

Tradycja Świąt Bożego Narodzenia, towarzysząc nam od wieków - odżywa zawsze w grudniu, urozmaicając czas oczekiwania na Święta snuciem pogodnych myśli związanych z przygotowywaniem do tych jedynych niepowtarzalnych świątecznych dni, dni miłości Boskiej i ludzkiej. Świąt Bożego Narodzenia nie można sobie wyobrazić bez wieczerzy wigilijnej, która sama w sobie ma pewien charakter sakralny, świąteczny i jest dla nas nieomal najważniejszą treścią Świąt, a nie ich początkiem. Potrawy spożywane w czasie wigilii, sposób ich przyrządzana, kolejność ich podawania są od wiek wieków symboliczne i zawsze niezmienne. Pszenica, z której zrobiona jest kutia, symbolizuje sytość, dostatek; mak - spokojny sen, a miód – samą słodycz. Biały opłatek, którym wspólnie się łamiemy, jest sam w sobie ponadczasowy i symbolizuje okruchy chleba, którym należy podzielić się z ubogimi. Sianko rozrzucone na obrusie przywodzi na myśl stajenkę betlejemską i małe Dzieciątko, zaś każde zdarzenie w ciągu trwania tej wieczerzy staje się nagle doniosłe i pełne wróżb wszelakich.

Świąt Bożego Narodzenia nie można sobie także wyobrazić bez zielonego drzewka - choinki. Historia mówi, że zwyczaj strojenia choinki zapoczątkowany został w XIX wieku w Niemczech, skąd przeniósł się do Anglii i dalej do całej Europy. Istnieje nawet na ten temat piękna legenda, która mówi, że o północy, gdy rodził się Jezusek - na całym świecie zakwitły wszystkie drzewa. Niektórzy historycy jednak twierdzą, że choinka - tzw. „drzewko" szczyci się jeszcze starszą tradycją, nawiązując do aryjskiego „drzewa życia", którego ślady w sztuce i obyczajach można odszukać wszędzie tam, dokąd dotarli Ariowie. I u nas w dawnych czasach, w polskich chatach, w czasie godów zawieszano u pułapu coś w rodzaju choinki. Był to czubek ściętej jodły lub świerku, powieszony wierzchołkiem ku dołowi, ustrojony w pierniczki, jabłka i ozdoby z kolorowych opłatków. Taką nasza staropolską choinkę nazywano jodłką. Nie można sobie również wyobrazić Świąt Bożego Narodzenia bez pasterki - nocnej mszy świętej, która nieodmiennie gromadzi na modlitwie w kościele wszystkich wierzących i niewierzących oraz obojętnych religijnie, starych i młodych. Wśród bicia dzwonów i w blasku niezliczonych świec płyną chóralnie śpiewane kolędy, tak nierozerwalnie związane z polską tradycją i będące zarazem naszą wielką dumą i radością. To głównie dzięki nim możemy Święta Bożego Narodzenia nazywać świętami radosnymi. Każdy naród chrześcijański ma swoje własne rodzime pieśni religijne związane z narodzeniem Dzieciątka Jezus, ale nigdzie na świecie nie ma ich tyle co u nas, i nigdzie nie są one tak piękne, bezpośrednie, pełne tkliwości i ciepła.

Najpierwsze kolędy, o których wiemy, były dla nas obce, pochodzące z innych krajów i początkowo miały charakter raczej świecki, były połączone z zabawą i posiadały często melodię taneczną, a były śpiewane głównie na ulicy i nie zawierały tekstów zbyt ściśle religijnych. Korzenie niektórych z tych kolędowych utworów tak się splatały ze sobą, że trudno byłoby ustalić ich początkową treść. Najwięcej tego rodzaju pieśni Bożonarodzeniowych powstało w Anglii już w XIII i XIV wieku, także we Francji i w Niemczech. Jednakże wszystkie one były śpiewane i grane w rytmie prawie tanecznym. Przykładem może być melodia wymieniana jako ballada miłosna znana z komedii Szekspira „Wesołe kumoszki z Windsoru". Dopiero pod koniec wieku XVI dopisano do niej kilka religijnych tekstów. Do najbardziej znanych na świecie zagranicznych kolęd można zaliczyć kolędę „Cicha noc", wykonaną po raz pierwszy 24 grudnia 1818 r. w Niemczech. Również znaną i u nas popularną jest kolęda angielska „Dzwoneczki", czyli Jingle Bells, napisana w 1857 r. przez nauczyciela szkółki niedzielnej specjalnie dla dzieci. Z inną zaś kolędą Cantique de Noël znaną w wersji angileskiej O Holly Night, związana jest bardzo ciekawa i wzruszająca historia z okresu wojny francusko-pruskiej z 1870 r. Mianowicie - w noc wigilijną pewien francuski żołnierz wyszedł z okopów i zaczął głośno śpiewać tę właśnie kolędę. Ucichła wówczas strzelanina, a za chwilę żołnierz niemiecki odpowiedział kolędą Von Himmel Hoch i już tej nocy więcej nie strzelano. Wiek XIX i XX zaznaczył się w utworach powszechnie śpiewanych pełnym renesansem muzyki ludowej, związanej tematycznie z Bożym Narodzeniem. Z tego to okresu najbardziej znane są „Medytacje" Gounoda, skomponowane pod wpływem cyklu utworów Johanna Sebastiana Bacha, wydanych w roku 1722, a opublikowane została dopiero w 1852 r. W kilka lat później pewien ksiądz katolicki dołączył do tej melodii słowa modlitwy Ave Maria i od tej chwili utwór ten znany jest pod tym tytułem. Ze wszystkich jednak znanych nam kolęd, najpiękniejsze pozostaną dla nas kolędy polskie, pełne czaru, artystycznego piękna, nastroju i prostoty. Historia narodzin polskich kolęd jest niezwykle ciekawa. Najwięksi polscy poeci tworzyli z zapałem coraz to nowe utwory o Bożym Narodzeniu, a wielu znanych kompozytorów komponowało do nich melodie. Pierwsze znane polskie utwory kolędowe powstały pod koniec XIV w., lecz były to kolędy pisane wyłącznie po łacinie, choć wiadomo, że kolędy w języku polskim również istniały, ale prawdopodobnie zaginęły w mrokach historii i nie zdołały dotrwać do naszych czasów. Wiek XV przyniósł już znacznie więcej pieśni kolędowych, pisanych także i po polsku. Z tego okresu znane są takie kolędy, jak np. „Panna Pana porodziła", „Stała nam się nowina", czy „Pieśń o Zwiastowaniu Najświętszej Marii Panny i Narodzeniu Krysta Pana" (1420 r.). W stuleciu następnym twórczość kolędowa zaczęła się coraz bardziej rozwijać. Najstarsze kolędy z tego okresu to szeroko znana i śpiewana do dziś „Anioł pasterzom mówił" oraz „Już cię żegnamy o rozkoszne dziecię", czy „Narodził się nam Zbawiciel". Dużo szerzej twórczość poezji ko-

lędowej rozwinęła się w latach późniejszych. Kolędy pisali tacy wielcy twórcy, jak Jan Kochanowski, Andrzej Krzycki, piszący także po łacinie, Sebastian Grabowiecki oraz Szymon Krofey znany z tego, że napisał aż 12 kolęd kaszubskich. Z tego też to okresu oblicza się, że pochodzi aż kilkaset kolęd, z których wiele śpiewanych jest do dzisiaj. Najbardziej z nich znane to: „A wczora z wieczora", „Tryumfy Króla Niebieskiego", „Nowy rok bieży", „W żłobie leży, któż pobieży", „Hej w Dzień Narodzenia", czy „Przybieżeli do Betlejem pasterze" i „Przy onej górze". Ciekawe jest, że największe zbiory kolęd sporządzane były w tym czasie głównie przez zakonnice - benedyktynki, klaryski i karmelitanki. One to wprowadziły spotykany do dziś wzruszający zwyczaj kołysania i tulenia figurki małego Dzieciątka. Z tego okresu mamy takie piękne kolędy - kołysanki: „Lulajże Jezuniu", „Jezus Malusieńki" i „Gdy śliczna Panna syna kołysała". Warto też wspomnieć, że i Fryderyk Chopin uwiecznił nie tylko kolędę „Lulajże Jezuniu" w scerzzo h-moll, ale i „Jezus Malusieńki" w etiudzie cis-mol. Na przełomie XVII i XVIII wieku począł się tworzyć jakby nowy rodzaj pieśni kolędowej. Były to pastorałki. Pastorałki oparte były głównie na motywach naszej rodzimej twórczości ludowej, zapożyczając z niej nie tylko słowa, ale i rytm i melodykę, a także wprowadziły do gry ludowe instrumenty. Pastorałki są utworami raczej prostymi, ukazującymi specyfikę życia ludu polskiego. Dźwięczą w nich rytmy mazurka, krakowiaka, kujawiaka i poloneza. Pojawiają się w nich także postacie przedstawiające pastuszków i domowe zwierzątka. Najlepiej pamiętamy takie kolędy, jak: „Ach, ubogi żłobie", „Pójdźmy wszyscy do stajenki", „Z narodzenia Pana". Ale najbardziej są nam bliskie: „Bóg się rodzi" oraz „Wśród nocnej ciszy". Kolędę „Bóg się rodzi" zawdzięczamy Franciszkowi Karpińskiemu (1792 r.), a według ogólnej opinii znawców - jest to bez wątpienia najpiękniejsza kolęda świata. Wiek XIX i XX był dla Polski bardzo ciężkim okresem niewoli i ucisku zaborców. Zmieniła się wówczas, jak wiadomo, całkowicie nasza sytuacja polityczna, co nie pozostało bez wpływu na rozwój pieśni i kultury muzycznej. Nrodził się w muzyce nowy styl przepojony do głębi uczuciami patriotycznymi. Dotyczyło to także tekstów i melodii kolęd i pastorałek. Utwory te były śpiewane bardzo chętnie, ale głownie w zaciszu domowym i pewnej konspiracji w kościołach. Tym bardziej więc podkreślana była w nich rola pieśni politycznej, a kolęda jako taka przeistoczyła się z pieśni obrzędowej i religijnej - w pieśni w całej pełni patriotyczną, która stała się wówczas niejako symbolem polskości. W tę specyficzną twórczość zaangażowało się wielu znanych szeroko twórców, a między innymi Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Cyprian Kamil Norwid, Teofil Lenartowicz, Adam Asnyk i wielu, wielu innych. Z tego smutnego okresu pochodzą bliskie nam bardzo takie kolędy jak: „Mizerna, cicha stajenka licha", „Bracia patrzcie jeno", „Do szopy hej pasterze", „Dzisiaj w Betlejem", czy „Mędrcy świata". W latach późniejszych nadal powstają utwory kolędowe i pastoralne, ale i także różne misteria, szopki i jasełka. Wiek XX zaznaczył się w swej twórczości wielkim bogactwem kompozycji i opracowań chóralnych, a nawet dramatycznych. Nadal tworzą znani pisarze - Jan Kasprowicz, Stanisław Wyspiański, Loeopold Staff, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, czy Kamil Baczyński. Najbardziej z tego czasu znane jest „Betlejem Polskie" Lucjana Rydla z 1906 r. W utworze tym scena zapełnia się postaciami nie tylko pastuszków, Heroda, aniołów i diabłów, ale i także znajdują się tam klęczące przy żłobku wspaniałe postaci historyczne, które wpisały się na zawsze w historię Polski, utrwalając w ten sposób wiarę w odrodzenie Ojczyzny.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości poczęły się ukazywać kompozycje kolędowe mające oddźwięk poważny, bardziej patriotyczny niż religijny, chociaż komponowano także z zapałem utwory bardzo tradycyjne o tematyce Bożego Narodzenia. Powstawały całe cykle kolęd i pieśni religijnych, jak np. „Misterium wigilijne" czy „Misterium Bożego Narodzenia", albo Oratorium Bożego Narodzenia. Kolędy są w Polsce śpiewane od zawsze, zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie niewoli i zaborów. Śpiewane były w czasie okupacji niemieckiej, także i w czasach późniejszych. Były one dla nas szczególnie bliskie i miały zawsze akcenty patriotyczne, choć pisane były często do znanych już wcześniej melodii kolędowych. Kolędy śpiewane były wszędzie, nawet i wtedy, kiedy to tylko było możliwe w obozach jenieckich, obozach koncentracyjnych, obozach internowania polskich żołnierzy na Węgrzech, w Rumunii, Szwajcarii i Hiszpanii. Jednakże mimo tak dużego zainteresowania pieśnią religijną i kolędami ostatnie lata nie wprowadziły nowych kolęd, lecz za to utrwaliły te znane już od wieków, które zawsze były i są tak bliskie naszym sercom. Czujemy i wiemy to dobrze, że w kolędach ukryta jest najpiękniejsza modlitwa i najpiękniejsze wspomnienie dziecięcych lat oraz utrwalona jest tam tradycja polskiego prostego ludu. „Anioł pasterzom mówił - Chrystus wam się narodził w Betlejem, nie bardzo podłym mieście, narodził się w ubóstwie Pan wszego stworzenia..."

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora PG



rys. Bogna Lipińska

Rok 2005 – rokiem Politechniki Gdańskiej

URZĄD MIEJSKI W GDAŃSKU
BIURO PREZYDENTA MIASTA

BPM-I-0717-1525-ER-03 Gdańsk 21.11.03

Szanowny Pan
prof. dr hab. Inż. Janusz Rachoń
Rektor
Politechniki Gdańskiej

Szanowny Panie Rektorze

Z przyjemnością przesyłam Panu egzemplarz podjętej w dniu 30 października 2003 uchwały Rady Miasta Gdańska w sprawie ustanowienia roku 2005 Rokiem Politechniki Gdańskiej.

Mam nadzieję, że obchody rocznicowe będą okazją do wielu wspomnieniowych spotkań i wydarzeń, które wzbogacą kalendarz kulturalny Miasta.

z wyrazami szacunku

Uchwała Nr XIV/441/2003
Rady Miasta Gdańska
z dnia 30 października 2003 roku

w sprawie ustanowienia roku 2005 Rokiem Politechniki Gdańskiej

Na podstawie art. 18 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (tekst jednolity z 2001r. , Dz. U. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.)

Rada Miasta Gdańska uchwala, co następuje:

§ 1

Rok 2005 ogłasza się Rokiem Politechniki Gdańskiej.

§ 2

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

Przewodniczący
Rady Miasta Gdańska
Bogdan Oleszek

Uzasadnienie:

Rok 2005 w Politechnice Gdańskiej będzie rokiem jubileuszowym o wyjątkowym znaczeniu. Historię Uczelni wyznacza bowiem data 24 maja 1945 roku – powstanie polskiej uczelni technicznej w Gdańsku – Politechniki Gdańskiej. Uczelnia obchodzić będzie zatem 60-lecie Politechniki Gdańskiej, która w ciężkim trudzie i za sprawą pierwszych studentów i pracowników rozpoczynała swoją działalność, aby stać się w krótkim czasie największą uczelnią techniczną w północnej Polsce.

Dzieje Politechniki w Gdańsku nierozerwalnie związane są z historią Gdańska i splatają się z losami dziejowymi mieszkańców Pomorza.

Od pierwszych powojennvch dni Politechnika z ogromnym zapałem uczestniczyła nie tylko w odbudowie spalonych gmachów uczelni, ale także włączyła się gremialnie do przywracania piękna prawie doszczętnie zrujnowanej gdańskiej Starówki. To architekci projektowali i rekonstruowali kamieniczki Starego Miasta wraz z ich detalami architektonicznymi.

Uczelnia w ciągu sześćdziesięciu powojennych lat zgromadziła ogromny dorobek wiedzy, talentów i nowych obiektów. Wpisała się na trwałe w intelektualny i ekonomiczny pejzaż Gdańska. Zawsze istniał związek Uczelni z gospodarką morską. Większość kadry zajmującej się tą dziedziną gospodarki narodowej legitymuje się dyplomem Politechniki Gdańskiej. Dlatego rok 2005 ustala się Rokiem Politechniki Gdańskiej.

PREZYDENT MIASTA GDAŃSKA
Paweł Adamowicz

II Bałtycki Festiwal Nauki

Rada Rektorów Województwa Pomorskiego zdecydowała o organizacji II Bałtyckiego Festiwalu Nauki w dniach 28 – 30 maja 2004 roku.

Łącznie na Wybrzeżu Gdańskim w imprezach festiwalowych będzie uczestniczyło 25 instytucji naukowych, w tej liczbie także Politechnika Gdańska.

Na uczelni trwają już prace organizacyjne – bliższe informacje można znaleźć na stronie domowej PG.

dr hab. Henryk Sodolski
Koordynator Uczelniany
Festiwalu Nauki w PG

Kilka uwag na temat sportu w Politechnice Gdańskiej

Od prawie 20 lat jestem pracownikiem SWFiS PG oraz AZS PG. Myślę, że jest to wystarczający okres, by pokusić się o kilka wniosków na temat sportu w Politechnice Gdańskiej. Na wstępie kilka faktów z życia sekcji piłki ręcznej, której jestem trenerem. Otóż zdobyliśmy w tym czasie 6 tytułów Mistrza Polski Politechnik, dwa razy srebrne medale oraz brązowy medal Akademickich Mistrzostw Polski.

Aktualnie jako AZS Politechniki Gdańskiej gramy w II lidze państwowej. Ubiegły sezon zakończyliśmy na 3. miejscu. Grą w II lidze nawiązujemy do lat 60. i 70., kiedy to AZS Gdańsk oparty na studentach PG grał w I i II lidze. Przy tej okazji przypomnę, że trenerami sekcji piłki ręcznej w tamtych latach był, mający obecnie prawie 100 lat **„Dziadźka" p. mgr Aleksander Bereśniewicz**, również jachtowy kapitan żeglugi wielkiej. Po nim przez wiele lat trenerem sekcji był **p. mgr Marian Rozwadowski,** wielokrotny reprezentant Polski, olimpijczyk z Monachium 1972 r., później zaś **p. mgr Wiesław Gronau**.



Spotkanie pokoleń AZS-iaków

Aktualnie zespół jest w tzw. przebudowie, tzn. część zawodników skończyła studia, a tym samym grę w naszym zespole. Przyszli nowi, trzeba ich wpasować do zespołu, zgrać, by zaczął on sprawnie funkcjonować. Na to potrzeba czasu i cierpliwości. Ten problem powtarza się z różnym natężeniem corocznie. Przez te 20 lat przez sekcję przewinęło się parę setek studentów. Dla jednych był to krótki epizod, inni solidnie trenowali i grali przez cały okres studiów. Z wieloma spotykamy się rokrocznie podczas turnieju **im. Marka Kuchnowskiego**, który tragicznie zginął 10 lat temu podczas pracy zawodowej. Był absolwentem wydziału M-T i jednocześnie dwukrotnym złotym medalistą Mistrzostw Polski Politechnik w piłce ręcznej. Był to czas, kiedy **obowiązkowe zajęcia wf na Politechnice Gdańskiej trwały 3-5 lat**. Zdecydowana większość ówczesnych absolwentów bardzo sobie chwaliła tamten system, niejednokrotnie twierdząc, że dopiero po 2 roku studiów docenili i prawdziwie zasmakowali w aktywności fizycznej podczas tych zajęć. Ich opinie potwierdzali niejednokrotnie również inni studenci i absolwenci PG. Myślę, że większość wykładowców PG zdaje sobie sprawę **z wagi i roli kultury fizycznej w życiu każdego człowieka**. Nawyki, również w tym zakresie, kształtują się w młodym wieku. Okres studiów jest już ostatnią szansą dla ich kształtowania. Czy będą one prawidłowe, czy nie, w dużym stopniu zależy od władz uczelni, władz wydziałów i wykładowców SWFiS PG. Pierwsi winni tworzyć warunki i możliwości, drudzy – wypełniać je treścią. W ostatnich latach panował trend niestety ograniczający wf na PG. Trend, który nie przynosi nam chluby. Nie wszystko da się usprawiedliwić ekonomią. **Są sprawy ważniejsze od pieniędzy**. Na szczęście te niekorzystne tendencje zostały ostatnio zahamowane. Jaki będzie przyszły absolwent PG – zależy od nas wszystkich. Czy będzie to cherlak z okrągłymi plecami i dużym brzuchem, niewydolnym układem naczyniowo-oddechowym i dużą głową?! Mam nadzieję, że nikt nie życzy sobie takich absolwentów PG. **Sport uczy i wychowuje, to prawda oczywista dla każdego człowieka**. Badacze z University of Illinois i z University of Pittsburg stwierdzili, że **regularnie uprawiane ćwiczenia fizyczne poprawiają ukrwienie mózgu, zwiększając zdolność do przyswajania informacji**. Grupa dr. Car-



Drugoligowa drużyna Klubu Uczelnianego AZS PG w piłce ręcznej mężczyzn



Rys. Marcin Zuzański
Wydział Architektury

la Cotmana z University of California w Irvinie oraz naukowcy z University of Texas **wykazali antydepresyjny efekt ćwiczeń fizycznych u ludzi**. Wysoka wydolność, fizyczna sprawność, zdrowie, zdolność do pracy w zespole, odpowiedzialność, systematyczność, umiejętność pokonywania własnej słabości, a także, jak potwierdzają ww. badania, wyższa sprawność umysłowa i efekty antydepresyjne – to tylko niektóre elementy i efekty systematycznego treningu w sekcjach AZS Politechniki Gdańskiej. Efekty, które wydatnie pomagają w karierze zawodowej, życiu rodzinnym i społecznym. **Mądrzy wychowawcy inwestują w zdrowie młodego człowieka**. W sekcjach sportowych AZS PG systematycznie ćwiczy przez cały okres studiów tylko około 10% studentów. Co z pozostałymi absolwentami Politechniki Gdańskiej? **Dla nich sport, to tylko obowiązkowe zajęcia wf**, na większości wydziałów tylko przez 3 semestry. W tym miejscu muszę poinformować, że corocznie przychodzą coraz słabsi fizycznie i wydolnościowo maturzyści. Obiektywne badania w tym zakresie, prowadzone w skali krajowej, są przerażające. Przyczyn jest wiele i są zróżnicowane. Nie czas i miejsce, by o nich pisać. Biorąc powyższe pod uwagę, apeluję do władz uczelnianych i wydziałowych, by **zwiększyły obowiązkowy wymiar wychowania fizycznego**. Chciałbym podać przykład kariery jednego z wielu byłych zawodników sekcji piłki ręcznej AZS PG. Zawodnik ten od początku był bardzo solidny, systematyczny w treningach i meczach. Podczas Mistrzostw Polski Politechnik w 1998 r. w Koszalinie w czasie pierwszego spotkania w ferworze walki zderzył się z zawodnikiem drużyny przeciwnej. Efektem tego był pęknięty łuk brwiowy, polała się krew, przyjechało pogotowie, zabierając go do szpitala, gdzie założono mu szwy. Pod koniec meczu wrócił na halę sportową i zgłosił chęć do gry. Wszedł na boisko i grał dobrze. Grał także w następnych meczach, mając duży udział w zdobyciu przez drużynę reprezentującą Politechnikę Gdańską złotego medalu. Obecnie Maciej Klemm jest absolwentem Wydziału ETI, który ukończył w 2002 r. Jest doktorantem w Szwajcarii, członkiem zespołu realizującego jeden z programów Unii Europejskiej. Planuje powrót do Polski, gdyż twierdzi, że tu jest jego miejsce. Inny przykład: Darek Gryzio, również absolwent Wydziału ETI, przez cały okres studiów systematycznie trenujący, zawsze uczynny, solidny i chętny do pomocy. Po ukończeniu studiów tworzy firmę „Sevenet", zajmującą się sieciami i systemami komputerowymi, która obecnie liczy się na rynku w kraju. Znajduje tam zatrudnienie wielu absolwentów PG, również piłkarzy ręcznych. Od dwu lat jest obok PG głównym sponsorem drugoligowej drużyny piłki ręcznej AZS PG, a także jednym ze sponsorów obchodów jubileuszu PG.

Myślę, że nie mniej ważny od wyników sportowych naszej pracy, a być może ważniejszy, jest jej **aspekt wychowawczy**. Od tego elementu nie możemy się byle czym wykręcić. Dotyczy to w różnym stopniu wszystkich, szczególnie nauczycieli-wykładowców. **Tyle odpowiedzialności, ile możliwości**. Nie da się usprawiedliwić naszego braku aktywności w tym zakresie twierdzeniem o dorosłości naszych podopiecznych, a tym bardziej ekonomią. Liczą się przed wszystkim czyny, nie słowa. **Adam Mickiewicz pisał: „W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę"**. Studenci oczekują tego działania. Oczekują i szukają przewodników, autorytetów nie tylko w zakresie wiedzy merytorycznej, lecz także, a może w szczególności, podczas życiowych wyborów i problemów. Często się buntują, chcą sami decydować, lecz jeśli dostrzegą korelację słów i czynów, prędzej czy później – wierzę w to – dokonają dobrego wyboru. Jeśli w młodym wieku, również podczas zajęć wf, wyrobimy u młodych ludzi właściwe nawyki, będziemy wspólnie mieli satysfakcję z jakości absolwentów PG. Absolwentów wszechstronnie wykształconych i dobrze wychowanych. Kończę słowami poety: **„Takie będą Rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie"**.

Edward Wierzbowski
Studium Wychowania Fizycznego i Sportu

PS Powyższe uwagi miałem przyjemność przedstawić władzom uczelni i studentom podczas Inauguracji Sportowego Roku Akademickiego w dniu 6.11.2003 r.

Z teki poezji

I już 2004

A tak niedawno był roku początek,
Życzenia i w sufit strzelały szampany,
I bawił się każdy ojczyzny zakątek,
Kraj się radował, czekając odmiany.

Opadły kartki ściennych kalendarzy,
W głowie wspomnienia po lecie i wiośnie,
Z nowych problemów wielkim bagażem,
Jedni żyli smutniej, a inni radośniej.

Nagle westchnienie. A więc koniec roku!
Nową cyferkę dopisze dziś czas.
Znowu nadzieja, że wyjdziemy z mroku,
I wszystkim trudnościom odpowiemy – Pas!

Szampanem nową powitamy chwilę,
Kiedy zegary bić będą dwanaście,
I rok zaczniemy z gracją i stylem
A życie sobie? – Nie jak w toaście.

Marek Biedrzycki
Dział Współpracy z Zagranicą

Druga edycja dorocznej Nagrody im. Profesora Romualda Szczęsnego

W tym roku odbył się drugi konkurs prac dyplomowych o doroczną Nagrodę im. Profesora Romualda Szczęsnego, ustanowioną przez Miasto Gdynia za najlepszą pracę dyplomową wykonaną w Politechnice Gdańskiej w zakresie nowoczesnych technologii. Kapituła Nagrody w składzie:

1) prof. dr hab. inż. Paweł Zimny – przewodniczący
2) prof. dr hab. inż. Andrzej Grono – sekretarz
3) dr hab. inż. Piotr Chrzan, prof. nadzw. PG – członek
4) dr inż. arch. Magdalena Podwojewska – członek, w zastępstwie dziekana WA
5) mgr Bogusław Stasiak, wiceprezydent Miasta Gdyni – obserwator

na posiedzeniu w dniu 1 września 2003 roku, po zapoznaniu się z pracami dyplomowymi oraz po wysłuchaniu autorskich prezentacji, postanowiła nominować do nagrody zgłoszone na konkurs dwie prace dyplomowe, a mianowicie:

1) pracę dyplomową pt.: *Centrum Gospodarczej Integracji Europejskiej im. Eugeniusza Kwiatkowskiego (w oparciu o analizy Osi Prestiżu)*, wykonaną przez mgr inż. arch. Maję Garbarską, pod opieką dr inż. arch. Jadwigi Kiernikiewicz-Wieczorkiewicz z Wydziału Architektury,
2) pracę dyplomową pt.: *Rozmyte sterowanie temperaturą przepływającego gazu*, wykonaną przez mgr. inż. Piotra Skonecznego pod opieką dr. inż. Jacka Zawalicha z Wydziału Elektrotechniki i Automatyki.



Wiceprezydenci Miasta Gdyni pan dr inż. arch. Marek Stępa oraz wiceprezydent Miasta Gdyni pan mgr Bogusław Stasiak honoruje mgr inż. arch. Maję Garbarską, laureatkę nagrody

W tajnym głosowaniu, na posiedzeniu zamkniętym, Kapituła ustaliła ranking prac dyplomowych w wyżej podanej kolejności. Prezydent Miasta Gdyni, dr Wojciech Szczurek, przyznał Nagrodę dla pani mgr inż. arch. Mai Garbarskiej. Nagroda została wręczona podczas Środowiskowej Inauguracji Roku Akademickiego 2003/2004 w Uczelniach Wyższych Trójmiasta, połączonej z koncertem, która odbyła się w dniu 1 października 2003 roku w Politechnice Gdańskiej, także z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki. Nagrodę wręczyli: wiceprezydent Miasta Gdyni pan dr inż. arch. Marek Stępa oraz wiceprezydent Miasta Gdyni pan mgr Bogusław Stasiak (fot. 1). Prezentację prac dyplomowych nominowanych do nagrody urządzono w hallu Gmachu Głównego Politechniki Gdańskiej oraz w Urzędzie Miasta Gdyni.

Także i tym razem, mając na względzie:

- potrzebę zachowania pamięci Profesora Romualda Szczęsnego, który odszedł od nas na zawsze w pełni sił twórczych, pełniąc funkcję Dziekana Wydziału Elektrotechniki i Automatyki,
- promocję prężnie rozwijającego się Miasta Gdyni, które w 2002 roku otrzymało Nagrodę Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, przyznawaną jednemu miastu na naszym kontynencie,
- a nade wszystko promocję dobrych, realizowanych przed regulaminowym terminem prac dyplomowych, których autorzy podejmują ciekawą i pożyteczną tematykę w zakresie nowoczesnych technologii,

już teraz szczerze zachęcam do udziału w kolejnych edycjach konkursu. Przy sposobności zainteresowane osoby odsyłam do regulaminu Nagrody, który został opublikowany w Piśmie PG nr 2(87)/03.

Andrzej Grono
Wydział Elektrotechniki i Automatyki

Fot. Jerzy Kulas



JM Rektor PG prof. dr hab. inż. Janusz Rachoń, przewodniczący Kapituły prof. Paweł Zimny, wiceprezydent Gdyni oraz laureatka

Naśladownictwo wskazane

Wysin,dnia 06.11.2003r.

SZKOŁA PODSTAWOWA
im. Ks. Józefa Sobisza
83-421 WYSIN
ul. Wrzesińska 4/6

REKTOR POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ
Ul.Narutowicza 11/12
G d a ń s k

P O D Z I Ę K O W A N I E

Pragnę złożyć gorące podziękowanie i podać jako wzór postawy prawego i zaangażowanego Studenta PANA KRZYSZTOFA BRONK /III rok na Wýdziale Elektroniki ,Informatyki i Telekomunikacji/.

Student Krzysztof Bronk w okresie od 20 sierpnia do 15 września przez 2-3 dni w tygodniu po 2-3 godziny dziennie, nieodpłatnie przygotowywał w naszej szkole pracownię komputerową do właściwego funkcjonowania. W miesiącu październiku natomiast, w czasie wolnym od zajęć na uczelni, pomagał uczniom zainteresowanym informatyką podczas zajęć świetlicowych zgłębiać i rozwiązywać problemy komputerowe.

W czasach, kiedy w życiu codziennym dominuje postawa „coś za coś", przykład bezinteresownej działalności młodego, kształcącego się człowieka jest nie tylko przykładem pozytywnym, ale też z pewnością przykładem godnym pochwały i naśladowania.

Jako dyrektor małej, wiejskiej szkoły pragnę na ręce PANA REKTORA złożyć niniejsze podziękowanie, gdyż jedynie w ten sposób mogę podkreślić wagę działania Studenta Krzysztofa Bronk. Na zakończenie chcę dodać, że kiedykolwiek zwróciłam się do niego o pomoc i radę w sprawach związanych z funkcjonowaniem komputerów zawsze mogłam liczyć na dobrą wolę i właściwą pomoc.

Z poważaniem

DYREKTOR
mgr Ewa Filipska

Do wiadomości: Krzysztof Bronk

Gdańsk, 24 listopada 2003 r.

REKTOR
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

Stud. Krzysztof Bronk
Wydział Elektroniki,Telekomunikacji i Informatyki
Politechniki Gdańskiej

Szanowny Panie,

najpierw chciałbym Panu najserdeczniej podziękować za wzruszenia i radość jakich doznałem po przeczytaniu pisma Pani mgr Ewy Filipskiej, dyrektora Szkoły Podstawowej im. Ks. Józefa Sobisza w Wysinie, w którym przekazuje na moje ręce podziękowania za Pańską bezinteresowną pomoc w przygotowaniu i uruchomieniu szkolonej pracowni komputerowej oraz za udzielanie przez Pana stałej pomocy uczniom zainteresowanym informatyką.

Pańska działalność w tej małej wiejskiej szkole musi budzić najwyższe uznanie i szacunek. Całkowicie podzielam pogląd Pani Dyrektor, że taka postawa „młodego. kształcącego się człowieka jest nie tylko przykładem pozytywnym, ale też przykładem godnym pochwały i naśladowania". Dodałbym więcej, że świadczy ona o Pańskim poczuciu odpowiedzialności i zrozumieniu potrzeb cywilizacyjnych naszych małych ojczyzn. Ponadto jest dowodem na to, że w naszej Uczelni kształcą się ludzie światli i wielce wrażliwi, rozumiejący potrzeby edukacyjne innych. Mam nadzieję, że Pańskie postępowanie znajdzie naśladowców, gdyż takie postępowanie w najpiękniejszy sposób wzmacnia dobre imię naszej Almae Matris.

Życzę, aby spełniały się Pańskie marzenia. Życzę sukcesów na studiach oraz realizacji równie znaczących przedsięwzięć czyniących ludzi lepszymi i budzących nadzieję na godne życie i wiarę w ludzką dobroć i bezinteresowność, tak bardzo ostatnio nadwątlonych.

z wyrazami szacunku

prof. dr hab. inż. Janusz RACHOŃ

Nowy – stary Samorząd Studentów PG

Minęła właśnie kolejna kadencja Parlamentu Studentów naszej Uczelni. Dla wielu z nas jest to koniec wielkiej przygody z Politechniką i Samorządem, okresu wytężonej pracy i trudów, uwieńczonych wieloma większymi i mniejszymi sukcesami, radościami, jak również czasem niepowodzeń i wpadek, które hartowały naszą postawę i mobilizowały nas do większego zaangażowania. Dziś z wielką dumą i satysfakcją patrzymy za siebie, a myśl, że istnieliśmy i działaliśmy w tym otoczeniu, daje nam poczucie bliskości duchowej z tąże Uczelnią.

Dla wielu z nas jest to też wielki początek w ich drodze do dojrzałości, rozpoczynamy swoje działanie w strukturach uczelni, w nowym nieoszlifowanym jeszcze składzie, bo



JM Rektor Politechniki Gdańskiej dziękuje ustępującym członkom zarządu

ostatnie wybory dodały świeżej i nieskażonej jeszcze niepowodzeniami otuchy, a w nasze szeregi trafiło wielu młodych i interesujący ich ludzi, którzy tworzyć będą obraz studentów naszej Alma Mater. Z wielką nadzieją i uwagą przyglądam się aktywności nowych adeptów, trudnej i zapominanej już nieraz idei samorządności i wolontariatu, pomimo panującej opinii, iż w naszym społeczeństwie zanika już potrzeba działania dla dobra ogółu oraz że stajemy się niewolnikami materializmu i lenistwa intelektualnego.

Samorząd daje młodym ludziom możliwości rozwoju w wielu różnych kierunkach i dziedzinach życia, praktycznie każdy znajdzie tu (lub stworzy) coś dla siebie – coś, co będzie go interesowało i mobilizowało do aktywności w tym środowisku. Do tego wymagana jest tylko chęć i zapał do pracy, poczucie humoru i trochę cierpliwości. Wbrew panującej opinii nie trzeba wygrać wyborów, bo Samorząd Studentów PG tworzą wszyscy studenci naszej Uczelni, a różnica polega wyłącznie na tym, że tym pierwszym dana będzie możliwość i trudność decydowania za innych. Każdy, kto ma jakiś pomysł, chce coś zrobić lub coś zrealizować, uzyska nasze poparcie i naszą pomoc.

W nadchodzącym roku czeka nas wiele wydarzeń, które na długo pozostaną w historii tej uczelni. Mam nadzieję że ponownie uruchomiony i odrestaurowany budynek „Bratniaka" stanie się z czasem swoistym centrum aktywności studenckiej, miejscem spotkań studentów poszukujących możliwości twórczego spędzenia czasu, tak by w ich pamięci i doświadczeniach odcisnęło się coś więcej aniżeli kolejna „impreza" w akademiku. W tym zakresie wielką rolę odegrać będą musiały organizacje studenckie, tak aby dać tym ludziom interesującą alternatywną propozycję. Ciekawie byłoby w sobotę uczestniczyć w rajdach organizowanych przez GDAKK, w niedzielę pływać z „Morzkulcem", w poniedziałek tańczyć z „Contrą", a we wtorek śpiewać z „Chórem PG", w środę zrobić audycję w „SAR-ze" i tradycyjnie już w czwartek pójść do bezpiecznej i studenckiej „Kwadratowej", w międzyczasie koniecznie wyjechać na wymianę „Sokratesa", w czym pomoże ESN i zrobić uprawnienia zawodowe z SEP-em.



Nowi studenccy senatorowie; od lewej: Jakub Penkowski, i Rafał Rudnicki

Wielkimi krokami zbliża się już święto stulecia politechniki w Gdańsku i 60-lecia Politechniki Gdańskiej. Wbrew pozorom jest to święto dotyczące i interesujące studentów, szczególnie tych ze starszych lat. Ci ludzie na swój sposób zżyli się już ze swoją uczelnią i identyfikują się z nią, a jest to szczególnie widoczne podczas obchodów Dni Kultury Studentów Politechniki Gdańskiej – NEPTUNALIÓW; to wówczas campus jaśni się różnego rodzaju koszulkami i czapeczkami z logo PG. Warto wykorzystać właśnie tę okazję, ten jubileusz, aby przypomnieć studentom o historii Uczelni, o jej tradycjach, o wielkich ludziach, którzy znaleźli się w jej szeregach niewiele osób wie że pracownikami PG byli tacy ludzie jak Cybulski czy Fedorowicz, że to właśnie tu powstawały pierwsze teatry i kabarety studenckie, całkiem niedawno powstał popularny film „Krótki film o zaliczaniu" no i że to tu powstał pierwszy w Polsce Samorząd Studencki. Czasem przypominają nam o tym starsi profesorowie, którzy podczas zajęć w ramach krótkiego odprężenia opowiadają nam o ludziach i wydarzeniach, jakimi żyła niegdyś Politechnika. Aby przybliżyć studentom bogatą historię i tradycję Uczelni, będziemy współpracować ze Stowarzyszeniem Absolwentów przy PG, które niejednokrotnie wspomagało nas pomocą i radą, i zawsze mogliśmy na tę radę i pomoc.

Wierzę, że nadchodzący rok, dzięki wspólnej i zgranej pracy studentów, absolwentów i nauczycieli akademickich, oraz pomocy władz uczelni, będzie czasem, w którym uda nam się nie tylko pracować w cieniu naszych wielkich poprzedników – animatorów ruchu i kultury studenckiej, ale również im dorównać.

Ze Studenckim Pozdrowieniem

Damian Kuźniewski
Przewodniczący
Samorządu Studentów PG
Wydział Zarządzania i Ekonomii

fot. Jerzy Kulas



rys. Bogna Lipińska



W niedzielę 23 listopada 2003 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w wieku 69 lat

Śp.

TADEUSZ CHMIELOWIEC

CZŁONEK SPOŁECZNOŚCI POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

Posiadał status twórcy. Jego zawodową domeną i miłością była fotografia. Absolwent orłowskiego Liceum Plastycznego swoje życie zawodowe związał z Politechniką Gdańską, gdzie przepracował prawie pół wieku. To właśnie On ze swoim nieodłącznym aparatem fotograficznym uczestniczył we wszystkich ważniejszych wydarzeniach uczelnianych. To dzięki Niemu możemy dzisiaj pełniej odtwarzać dzieje naszej Alma Mater. Szkoda, że nie doczekał obchodów akademickiego roku jubileuszowego 2004/2005 (100 lat politechniki w Gdańsku i 60 lat Politechniki Gdańskiej), w których tak bardzo chciał wziąć aktywny udział.

Ceniony przez przełożonych i współpracowników. Wielokrotnie honorowany nagrodami Rektora PG. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Był człowiekiem pełnym energii i twórczej pasji. Emanował swoistą serdecznością w stosunku do kolegów i przyjaciół, do których przychodził, aby czasami pomilczeć. Bawił swoim roztargnieniem i imponował radością życia.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

Najserdeczniejsze wyrazy współczucia Rodzinie Zmarłego składają: Rektor, Prorektorzy, Dyrektor Administracyjny, Zespół Redakcyjny „Pisma PG" oraz współpracownicy i koledzy z Politechniki Gdańskiej.

Doktorat z Grenoble

W wyniku współpracy Katedry Aparatury Pomiarowej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki z ośrodkami naukowymi we Francji (Centre Nationale d'Etudes des Telecommunication Francetelecom w Meylan, obecnie Francetelecom R&D Centre – Grenoble, Laboratoir des Physique des Composants a Semiconducteurs, Institut Nationale Politechnique de Grenoble) w roku 1998 prof. zw. dr hab. inż. Aleksander Kołodziejczyk – Rektor Politechniki Gdańskiej, i Yves Brunet – Rektor Institut Nationale Politechnique de Grenoble – podpisali umowę o współpromowaniu pracy doktorskiej Arkadiusza Szewczyka. Współpromotorami rozprawy zostali: dr Gerard Ghibaudo z LPCS i prof. zw. dr hab. inż. Ludwik Spiralski z Katedry Aparatury Pomiarowej Wydziału ETI. Na podstawie umowy Arkadiusz Szewczyk odbył trzy 6-miesięczne staże w ośrodkach naukowych w Grenoble, gdzie opracował składową technologiczną rozprawy. W czasie pobytów we Francji otrzymywał stypendium doktoranckie fundowane przez Rejon Rodanu-Alp, zaś podczas pobytu w Polsce prowadził prace naukowo-badawcze jako słuchacz dziennego Studium Doktoranckiego przy Wydziale ETI. W ramach prowadzonej współpracy, strona francuska przekazała Katedrze Aparatury Pomiarowej 41 tys. FF z przeznaczeniem na zakup aparatury laboratoryjnej.

Publiczna obrona rozprawy pt. „Low frequency noise measurement in Advanced silicon Devices" odbyła się 15 kwietnia 2003 r. w Grenoble. Na recenzenta ze strony polskiej powołany został prof. dr hab. inż. Jerzy Kołodziejski z Instytutu Technologii Elektronowej w Warszawie. Do komisji publicznej obrony rozprawy został przez stronę francuską zaproszony również prof. zw. dr hab. Wojciech Sobczak z Wydziału ETI.

Stopień naukowy nadany uchwałą Rady Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej z dnia 28 października 2003 r. został uznany za w pełni równorzędny polskiemu stopniowi doktora nauk technicznych.

Ludwik Spiralski
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

Sylwetki niektórych Profesorów wykładających przedmioty nietechniczne

Byłem studentem Wydziału Elektrycznego Politechniki Gdańskiej w latach 1948-1952 (studia inżynierskie) i 1952-1954 (studia magisterskie). Należałem do pierwszego rocznika, który studia odbywał w systemie dwustopniowym. Większość Profesorów pochodziła z przedwojennych wyższych uczelni, takich jak Politechnika Lwowska, Politechnika Warszawska, Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. Słuchałem wykładów Profesorów: S. Turskiego – z matematyki, A. Piekary – z fizyki, W. Floriańskiego – z rysunku technicznego, A. Kozłowskiego – z maszynoznawstwa, W. Mermona – z obróbki metali, T. Pompowskiego – z chemii, S. Trzetrzewińskiego – z podstaw elektrotechniki i z miernictwa elektrycznego, J. Naleszkiewicza – z wytrzymałości materiałów, W. Wiśniowskiego – z teorii maszyn cieplnych, L. Staniewicza – z podstaw elektrotechniki II i III, S. Szpora – z techniki wysokich napięć oraz z wielkich mocy, I. Maleckiego – z oświetlenia elektrycznego, St. Puzyny – z encyklopedii budownictwa, S. Kaniewskiego – z ma-

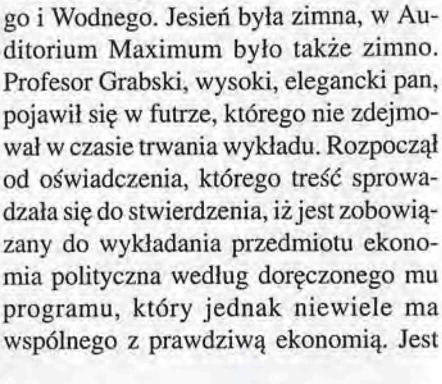
szyn elektrycznych I i II, Z. Grabskiego – z ekonomii politycznej, K. Kopeckiego – z rozdzielni i transformatorni, z urządzeń cieplno- energetycznych w elektrowniach, z elektrowni cieplnych, M. Broszko – z urządzeń i maszyn wodnych, J. Szumilewicz – z podstaw filozofii marksistowskiej. Wykładali także inżynierowie i magistrowie inżynierowie: M. Piątek, K. Bogacz, J. Miś, S. Hordliczka, St. Własiuk, J. Piasecki, A. Jankowski, M. Rodkiewicz, S. Perycz, M. Panecki, O. Klosse, M. Pruba, K. Mosingiewicz, J. Dziedzic, P. Ciechanowicz, L. Kurski, A. Hoffmann oraz doktorzy: W. Pawelski, Z. Zubalewicz, a także płk. Czerwiński i lektor Dębicka. Moim opiekunem naukowym w końcowych latach studiów, a także przewodnikiem w późniejszych latach pracy naukowej, był prof. dr inż. Kazimierz Kopecki.

Niniejsze wspomnienie pragnę poświęcić kilku Profesorom, wykładającym przedmioty nietechniczne, a ściślej mówiąc: wykładającym przedmioty uważane przez nas, ówczesnych studentów, za indoktrynujące.

Profesor Z. Grabski

(w indeksie jest tylko pierwsza litera imienia)

Słuchałem jego wykładów z ekonomii politycznej na V sem. w 1951 roku. Wykłady były prowadzone w Auditorium Maximum, dla studentów kilku wydziałów; o ile mnie pamięć nie myli, to poza Wydz. Elektrycznym, były to Wydziały: Mechaniczny oraz Budownictwa Lądowego i Wodnego. Jesień była zimna, w Auditorium Maximum było także zimno. Profesor Grabski, wysoki, elegancki pan, pojawił się w futrze, którego nie zdejmował w czasie trwania wykładu. Rozpoczął od oświadczenia, którego treść sprowadzała się do stwierdzenia, iż jest zobowiązany do wykładania przedmiotu ekonomia polityczna według doręczonego mu programu, który jednak niewiele ma wspólnego z prawdziwą ekonomią. Jest


9
L. 3407 POLITECHNIKA
Nazwisko i imię Milkiewicz Franciszek
Rok studiów III Rok akademicki 1950/51

Nazwisko wykładającego	Tytuł wykładu (ćwiczeń lub semin.)	Liczba godzin tygodn.
Prof. Z. Grabski	Ekonomia polityczna	2
	Ekonomika i organizacja pracy	3
Prof. inż. St. Trechcewiński	Miernictwo elektryczne	1

także zobowiązany do egzekwowania opanowania przez studentów urzędowej treści wykładu. Poinformował, iż w związku z tym, aby uzyskać zaliczenie przedmiotu, wystarczy nauczyć się prawomyślnych odpowiedzi na pytania związane z treściami programowymi. Poinformował także, że zarówno pytania, jak i odpowiedzi na nie, znajdą się na tablicy informacyjnej przedmiotu. Przedmiot zaliczyli wszyscy studenci. Mam wpisaną w indeksie w dniu 20. 05. 1951 ocenę bardzo dobrą. Chyba taką ocenę miały także moje koleżanki, było ich niestety tylko kilka, oraz koledzy. W następnym roku akademickim, o ile mi wiadomo, Profesor już nie wykładał.

Pułkownik Czerwiński

(niestety, w indeksie mam wpisane nazwisko bez imienia)

Zawsze w mundurze pułkownika Wojska Polskiego. Prowadził wykłady w Auditorium Maximum, na V i VI semestrze roku akademickiego 1950/51 dla Wydz. Elektrycznego, Wydz. Mechanicznego oraz dla Wydz. Budownictwa Lądowego i Wodnego. Mówił zwięźle i zdecydowanie, po wojskowemu, językiem polsko-rosyjskim, może nawet bardziej językiem rosyjsko-polskim. Z tego powodu uważaliśmy go za „ruskiego przebranego w mundur polski". Zrozumiałe, że w owych czasach wystarczyło to, by go nie traktować przyjaźnie. W mojej pamięci utrwalił się fragment wykładu dotyczącego jednego z praw dialektyki, zamykającego się stwierdzeniem, że „wszysko się zmienia..." wywodzącym się z greckiego „panta rei". „Stare jest zastępowane przez nowe" – dodawał wykładowca. I od razu dawał komentarz: „jednak nie wszystko co stare, jest wyrzucane, wot na primier: carski system był niedobryj – tak on i został zlikwidirowan, a w jego miesto ustanowleno socjalizm. No w carskoj sistiemie byli i dobryje wieszczy – kakije? Eto byli tiurmy! Tak oni i ostaliś w Sowieckom Sojuzie".

Po latach, bo w roku 1963, byłem na stażu naukowym w Kijowie. Spotykałem tam często Polaków, obywateli Związku Radzieckiego. Pamiętam szatniarkę w Bibliotece Akademii Nauk USRR oraz panie „piętrowe dyżurne" w hotelu Moskwa, w którym mieszkałem. Miały one narodowość polską, w czasie II wojny światowej służyły w armii radzieckiej, między innymi i na terytorium Polski. Chciały w Polsce pozostać, jednak im na


12
L. 3407 POLITECHNIKA
Nazwisko i imię Milkiewicz Franciszek
Rok studiów III Rok akademicki 1950/51

Nazwisko wykładającego	Tytuł wykładu (ćwiczeń lub semin.)	Liczba godzin tygodn.
Prof. St. Kaniewski	Zasady napędu elektrycznego	2
Prof. St. Kaniewski	Ćwiczenia z Zasad Napęd. elektrycznego	1
Ppłk. Czerwiński	Podstawy Marksizmu i Leninizmu	2
Ppłk. Czerwiński	Ćwiczenia z Podst. Marks. i Lenin.	1

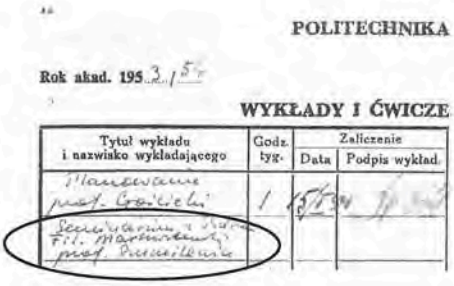
to nie pozwolono. Wspominały, jak ciężko im było z Polski wyjeżdżać. Szczególnie zapadło mi w pamięci pewne spotkanie w Teatrze Operowym w Kijowie. Byłem z kolegą, doktorantem ukrainistyki z Uniwersytetu Lubelskiego, Polakiem, na przedstawieniu operowym „Borys Godunow". Rzecz była przedstawiana w języku ukraińskim. Nie wszystko rozumiałem. Wobec tego, na przerwie prosiłem kolegę, by mi niektóre kwestie wyjaśnił. W pewnym momencie zwraca się do mnie sąsiad z lewej, młody człowiek, wypisz wymaluj kozak ukraiński z „Potopu" Henryka Sienkiewicza. Ubrany w przepasaną, zieloną rubachę, zielone spodnie wpuszczane w buty z cholewami. Na pierwszy rzut oka wydawał się kozakiem. Odzywa się po rosyjsku: „Wy Poliaki?". Odpowiadam „tak". Wtedy on: „Ja tože Poliak". Ja na to: „Mówmy więc po polsku". A on: „ja na polskom jazykie nie smogu rozgawarywać". Mnie się wyrwało (do dzisiaj nie mogę sobie tego wybaczyć, chociaż tłumaczyłem się przed sobą, że mogłem przypuszczać, iż jego deklaracja była koniunkturalna): „jaki z ciebie Polak, skoro nie znasz języka polskiego". Wtedy on wstał, stuknął obcasami, stanął na baczność i oświadczył: „Ja Poliak, moja familia Jan Borodinskij, na polskom jazykie umieju tolko Ojcze Nasz, tak kak mienia nauczyła moja Mać". Wyjmuje swój radziecki dowód osobisty i pokazuje na stronę z danymi osobistymi, a na niej czytam: „Jan Borodinskij, miesto rożdienia: Winnica" i dalej: „nacjonalność: Poliak". Łzy mi się w oku zakręciły. Zaczęliśmy rozmawiać, jak przyjaciele.

Po latach, refleksja: pułkownik Czerwiński był przypuszczalnie także Polakiem, tak jak Jan Borodinskij z Winnicy. Nie wiem, jakie były dalsze losy pułkownika Czerwińskiego, chyba podobnie, jak panie dyżurne, musiał jako obywatel Związku Radzieckiego powrócić do niego.

Profesor J. Szumilewicz

W 1953 roku prowadziła, na IV semestrze studiów magisterskich Wydz. Elektrycznego, seminarium z podstaw filozofii marksistowskiej. Byłem jednym z kilkunastu uczestników tego seminarium. Pani Profesor, o ile sobie przypominam, dawała wprowadzenie do tematu będącego przedmiotem każdego spotkania, a następnie prowokowała do dyskusji. W duchu traktowaliśmy te seminaria jako niechcianą indoktrynację. Na jednym z takich spotkań była rozważana jedna z zasad tzw. dialektyki marksistowskiej: „wszystko płynie, nic nie ma stałego...". W czasie dyskusji postawiłem pytanie: „Jeśli wszystko się zmienia, nic nie ma stałego, to co będzie po komunizmie? Warto nad tym się zastanowić, bo przecież już obecnie prasa radziecka pisze, iż aktualne pokolenie będzie żyć w komunizmie". Pani Profesor zastanowiła się chwilę i odpowiedziała mniej więcej w taki sposób: „Nie odpowiem wprost, a posłużę się przykładem. Proszę sobie wyobrazić kogoś, kto chce zdobyć najwyższy, nieznany jeszcze szczyt w paśmie górskim. Staje on u podnóża gór, przed pierwszym szczytem, który zasłania mu cel wyprawy. Wie jednak, że musi na niego wejść, by dojść do celu. Wchodzi więc na niego i dopiero teraz widzi najwyższy szczyt. Tym najbliższym szczytem jest komunizm. Po wejściu na niego, otworzy się nam perspektywa całego pasma. Zobaczymy wtedy i ten najwyższy szczyt, czyli to, do czego powinniśmy dążyć po osiągnięciu komunizmu". Nie mogłem się powstrzymać, by nie odpowiedzieć Pani Profesor: „A co będzie, jeśli wszedłszy na ten najbliższy szczyt, zwany komunizmem, stwierdzimy, iż wybraliśmy niewłaściwą drogę do osiągnięcia celu?". Profesor skwitowała moją uwagę stwierdzeniem, iż jest ona złośliwa.

Semestr IV był ostatnim semestrem studiów magisterskich. Miałem zdane egzaminy końcowe ze wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem egzaminu z podstaw fiozofii marksistowskiej. Nie pamiętam z jakich powodów na egzamin z tego przedmiotu nie stawiłem się ani w pierwszym, ani także w drugim terminie. W związku z tym musiałem zdawać egzamin komisyjny. W skład komisji egzaminacyjnej wchodziła prof. J. Szumilewicz jako egzaminator, prodziekan jako przewodniczący i trzecia osoba będąca chyba przedstawicielem parti, lub organizacji młodzieżowej. Zadano mi trzy pytania. Pamiętam, że poinformowałem komisję, iż na dwa z nich nie będę odpowiadał, gdyż dotyczą


POLITECHNIKA

Rok akad. 195 3/54

WYKŁADY I ĆWICZE

Tytuł wykładu i nazwisko wykładającego	Godz. tyg.	Zaliczenie Data	Zaliczenie Podpis wykład.

one ekonomii politycznej, a nie filozofii. Na trzecie pytanie odpowiedziałem poprawnie. Było to oczywiście za mało na zaliczenie egzaminu. Zauważyłem konsternację wśród członków komisji. Poproszono mnie o opuszczenie pomieszczenia, w którym odbywał się egzamin. Po kilku minutach wezwano mnie przed oblicze komisji. Profesor Szumilewicz poinformowała, iż właściwie komisja powinna była uznać, że egzaminu nie zdałem, jednak biorąc pod uwagę moje uczestnictwo w seminarium, w czasie którego wykazałem się krytycznym i prawidłowym rozumowaniem, a to w filozofii jest najważniejsze – postanowiono uznać egzamin za zdany.

Franciszek Milkiewicz
Wydział Elektrotechniki i Automatyki
(fotografie przedstawiają wpisy do indeksu autora)

1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

Paweł Jasienica i Politechnika Gdańska

Odsłona dziewiąta i ostatnia

Pisząc o Politechnice Gdańskiej, nie mógł Paweł Jasienica pominąć studentów. Swoje zwiedzanie Uczelni rozpoczął w okresie wakacyjnym, gdy korytarze świeciły pustkami. Początek października wypełnił je gwarem i obecnością kilku tysięcy młodych ludzi. Autor wzdychał do przedwojennych czasów, kiedy władze uczelni występowały w togach, biretach i gronostajach z łańcuchami i berłami. Ubolewał, że początek roku akademickiego 1954/55 kierownictwo gdańskiej Alma Mater – rektorzy, prorektorzy, senat w towarzystwie przedstawicieli władz państwowych i PZPR – powitało w ciemnych garniturach. Inauguracja odbyła się w auli, która wówczas nosiła imię Juliana Marchlewskiego. Tylko profesorowie i asystenci mogli się w niej pomieścić. Udało się to również garstce studentów. Reszta musiała zadowolić się wysłuchaniem inauguracyjnych przemówień, stojąc przed aulą, gdzie zainstalowane zostały głośniki, by wszyscy mogli uczestniczyć w uroczystości.



Rok 1948 – student Rajszyc przy kierownicy stara podczas wycieczki, której trasę umieszczono na samochodzie

Wieczorem ponownie zebraliśmy się w auli, by wysłuchać Orkiestry Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej pod batutą Kazimierza Wiłkomirskiego, oraz pianisty Miłosza Magina. Politechnika często, bodaj



Rok 1957 – profesorowie oraz dyplomanci Wydziału Architektury

raz na miesiąc, organizuje u siebie koncerty, na które ciało profesorskie schodzi się tłumnie. Nie brakuje wśród wykładowców i takich, którzy – jak np. profesor Bukowski – sami czynnie interesują się zarówno wykonawstwem, jak i kompozycją.

- To normalne – powiedział profesor Naleszkiewicz, kiedy zawiązała się rozmowa na ten temat. – Te same funkcje mózgowe rządzą czynnościami muzyka i matematyka.

Studenci też byli obecni na koncercie, istnieje więc pewność, że chwalebna tradycja nie zaginie.

Nowością w powojennych szkołach wyższych były prorektoraty zajmujące się sprawami studiującej młodzieży. W czasie, gdy Jasienica zapoznawał się z naszą Uczelnią, pieczę nad studentami powierzono profesorowi Jerzemu Dziedzicowi. Jako prorektor wiedział wszystko o swoich podopiecznych i tą wiedzą podzielił się z gościem ze stolicy.

Jedną z podstawowych spraw, które należało rozwiązać, było zapewnienie studentom dachu nad głową. Akademiki mogły pomieścić 2430 osób w pokojach sześcioosobowych. Na około 5000 studentów tysiąc to mieszkańcy Gdańska, drugi tysiąc znalazł zakwaterowanie na terenie Trójmiasta, reszta (od Tczewa po Wejherowo) musiała codziennie dojeżdżać na zajęcia. Z opłatami za kwatery prywatne bywało bardzo różnie – niektórzy gospodarze żądali miesięcznej opłaty w wysokości 150 złotych, inni nie brali ani grosza. Dwustu studentom przydzielono stypendia mieszkaniowe po 55 złotych.

Oprócz stypendiów, które przydzielono 80% młodzieży, Uczelnia rocznie wydawała 200 tysięcy złotych na zasiłki losowe: ***umarł ktoś w rodzinie, albo dziecko przyszło na świat, mógł też zdarzyć się studencki ślub („Bądź co bądź kataklizm..." – powiada profesor Dziedzic).***

Na pomoce naukowe poszczególny młodzian może dostać 200 złotych, więc niby mało. Ale rocznie Politechnika wydaje na to 130000 złotych, czyli wcale sporo.

Jednym z absurdów tamtych czasów było centralne zarządzanie akademikami. Jasienica cieszy się, że nareszcie skończono z biurokracją i zarządzanie własnymi akademikami nie odbywa się przez warszawski Zarząd Osiedli Akademickich, ale bezpośrednio przez kierownictwo Politechniki. W czasie pobytu na Wydziale Architektury zapoznał się z planami rozbudowy osiedla przy ul. Wyspiańskiego. W ciągu kolejnych lat powstał tam kompleks domów akademickich, ale do dzisiaj nie wybudowano pływalni i sal gimnastycznych, które tak zachwyciły autora reportażu. Nie wybudowano również – jak planowano – drugiego osiedla akademickiego, które miało stanąć na terenie dzisiejszego parku pomiędzy Politechniką a Akademią Medyczną.

Nie tylko materialnymi potrzebami studentów zajmowali się pracownicy naukowi. Każda z grup miała swojego opiekuna, asystenta przydzielonego przez profesora. ***Z tego wszystkiego wynikł m.in. ten skutek, że student przyzwyczaił się nie prosić czy oczekiwać, tylko żądać pomocy. I to niekiedy w sprawach całkiem osobistych. Ma prawo. Ale bardzo niedobrze jest, jeśli jego postawa wobec uczelni, Domu Akademickiego i w ogóle wobec życia przybiera charakter czysto konsumpcyjny.***

(...) Pierwsze pytanie na pierwszym miejscu pracy zamiast: jakie są moje obowiązki? – brzmi często: ile ja będę zarabiał? (...) co już jest całkiem źle.

Próby wychowawczego wpływania na postawę młodzieży nie dawały satysfakcjonujących rezultatów. Działania podejmowane przez profesorów rozbijały się o brak aktywności młodych ludzi, o dziwo, nawet tych, którzy byli aktywistami w organizacjach młodzieżowych. O pewnych sukcesach dydaktycznych i wychowawczych można mówić w przypadku profesora Aleksandra Rylkego.

Starałem się zawsze apelować do lepszych stron psychiki człowieka – wyrzekł cicho. – Proszę wierzyć długoletniemu doświadczeniu. Jeżeli zanadto naciskać od strony samej dyscypliny, to osiągnie się czysto formalistyczny stosunek do obowiązków i nic więcej.

Taki stosunek do studentów budził w nich wdzięczność i zadowolenie ze studiów. Jeden z „młodzianów', jak określił go Jasienica, stwierdził, że gdyby miał wybierać dziesięć razy, to zawsze wybrałby Wydział Budowy Okrętów. Jest to najpiękniejsze podzię-



Rok 1949 – studenci przed budynkiem Wydziału Elektrycznego

kowanie dla profesora.

Pierwszy dzień października, to również inauguracja roku akademickiego Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. W roku 1954 odbywała się ona w Auditorium Maximum. Przy okazji tej inauguracji Jasienica snuje refleksje na temat różnic wynikających z czasu, w którym przyszło żyć różnym ludziom. Młodzież ze studiów dziennych to roczniki, które nie pamiętają wojny. ***Dziwne to jest pokolenie. Trzeźwe, umiejące rachować i przewidywać szanse, od sentymentalizmu odległe, skłonne do przedrwiwań o miedzę graniczących nawet z cynizmem.***

Ci, którzy podejmują naukę na studiach wieczorowych, mają za sobą wrzesień 1939 roku, okupację, udział w walce z hitlerowskim okupantem, obozy jenieckie i koncentracyjne, pobyt w odległych republikach (np. Kazachstanie) byłego Związku Radzieckiego i domach dziecka. Ból, cierpienie, wysiłek i samozaparcie, by zdobyć wiedzę, która pozwoli ukończyć studia i otrzymać upragniony dyplom magistra inżyniera, mają ogromny wpływ na stosunek do nauki i nauczycieli.

Podobny stosunek mieli studiujący wówczas na naszej Uczelni studenci-obcokrajowcy. Wśród nich wyróżniali się szczególnie Koreańczycy, którzy ***pracują niezmordowanie, nawet kosztem wypoczynku i zdrowia. (...) W 1954 roku trzystu kandydatów stanęło do egzaminu na Wydział Budowy Okrętów. Piątkę z matematyki otrzymał jeden. Był to Koreańczyk.***

Z Polaków tylko jedna grupa może być z nimi porównywana pod względem gorliwości w nauce: studenci pochodzenia chłopskiego. Ci też do końca egzaminów potrafią się czuć niczym sprinter na finiszu stumetrówki. Młodzież robotnicza łatwo przejmuje od inteligenckiej cechę motylkowatości.



Rok 1955 – konsultacje prac studenckich w Katedrze Urbanistyki Wydziału Architektury

Dobiega końca nasze spotkanie z Pawłem Jasienicą. Jego wspomnienia, zawarte w książce „Zakotwiczeni", wydanej w 1955 roku przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, to pełne nostalgii opowieści o czasach, które są historią. Jednakże czytając ją, często miałam wrażenie, że jest to komentarz do dzisiejszych czasów. Oceny wypowiadane pod adresem zarówno studentów, jak i pracowników, dotyczą również nas, naszej pracy, stosunku do niej, relacji międzyludzkich. Zmieniła się sceneria, ale nie zmienił się człowiek – ze swoim pragnieniem zdobywania wiedzy, odkrywaniem nowych praw, konstruowaniem nowych, coraz lepszych i nowocześniejszych urządzeń, pragnieniem realizacji marzeń bardzo konkretnych, a także tych, których nierealność dodaje skrzydeł.

Paweł Jasienica nie bardzo wiedział, komu poświęcić reportaż – nauczycielom czy uczniom? Uznał, że pierwszeństwo należy się kadrze naukowej, bo ***o znaczeniu i jakości wyższej uczelni rozstrzyga naukowa tematyka jej katedr. Uniwersytet i politechnika to taka szkoła, w której nie tylko wykładają o faktach i teoriach już znanych, ale także, a może przede wszystkim, odkrywają nowe, nieznane.***

(...) Studenci i nasza współczesna młodzież to bardzo ciekawe środowisko. Ale w danym wypadku jest ono stroną, która bierze, przyjmuje dary.

(...) Byłoby jednak arcyniesprawiedliwie wysunąć na plan pierwszy biorących, a zepchnąć w cień dawców wartości. Zwłaszcza że stanowią oni element społeczny może nie zawsze ceniony według zasług, odgrywanej roli, wyników surowego egzaminu zdanego podczas wojny na piątkę i wielkiej pracy w Polsce Ludowej.

(...) Najważniejsza jest przecież rola danej warstwy zawodowej w określonej fazie historii. (...) rola ta – już teraz bardzo wielka – musi nieustannie wzrastać.

(...) Po tych wyjaśnieniach wolno chyba książkę, w której była mowa o pracy myśli ludzkiej, zakończyć cytatem ze starej sztuki Antoniego Słonimskiego:

„Szanuj inteligencję, mój synu, bo to jedyna siła płodna na świecie".

Ewa Dyk-Majewska
Biblioteka Główna



1 maja 1950 na Placu Zebrań Ludowych

(Zdjęcia z archiwum Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej)



1904 1945 2004/2005
JUBILEUSZ POLITECHNIKI w GDAŃSKU

Odrobina chemii, wspomnień i ... humoru

Wiele lat temu, gdzieś na początku epoki gierkowskiej, mój serdeczny przyjaciel archeolog, wprowadzający mnie w tajniki wiedzy o prahistorii Pomorza, zorganizował spotkanie grona swoich znajomych. Wśród zaproszonych gości znalazła się także moja skromna osoba. Wspomniany okres lat 70. obfitował, w przeciwieństwie do obecnych czasów, w wiele anegdot, zwłaszcza tzw. politycznych. Ponieważ ten rodzaj dowcipu królował w trakcie wspomnianego towarzyskiego spotkania, postanowiłem sięgnąć do odmiennej tematyki. - *Czy wiecie, szanowni państwo, kto to jest „mężczyzna chemiczny"?* – zagadnąłem. Ponieważ zapadło milczenie, doszedłem do wniosku, że ów dowcip nie jest znany. - *Otóż „mężczyzna chemiczny" łatwo się zapala i wchodzi w związki* – kontynuowałem myśl – *A „kobieta chemiczna"?* Nadal panowało głuche milczenie, więc wyjaśniłem: - *„Kobieta chemiczna" ma zasady i nie wywołuje kwasów*. Tym razem ciszę przerwał niezbyt donośny damski głos, dochodzący gdzieś z kąta: .... *i rozkłada się w temperaturze pokojowej*. Szanowny Czytelniku, pewnie zrozumiesz moje ogromne zaskoczenie i zakłopotanie: konstrukcja dowcipu, tak misternie tworzona, w jednej chwili legła w gruzach. Błąd polegał na tym, że nie przeanalizowałem składu osobowego zaproszonych gości, a dominowały w nim – jak się później zorientowałem – osoby zawodowo związane z Wydziałem Chemicznym naszej zasłużonej Alma Mater.

Znajomość zawarta z chemikami, a dokładniej – z chemiczkami, zaowocowała dekadę później, w czasie stanu wojennego. Nabycie wielu odczynników itp. produktów graniczyło wręcz z cudem. Wówczas owe znajome panie ratowały mnie, dzieląc się swoimi skromnymi zapasami, m.in. rozpuszczalnikami, czy też chlorkiem żelazowym, koniecznym przy trawieniu płytek z połączeniami drukowanymi. Moja każdorazowa rozmowa telefoniczna, zapowiadająca przybycie z konkretną prośbą w imieniu zaprzyjaźnionego Wydziału Mechanicznego, kończyła się zapytaniem: - A herbatki się napijesz? Cóż, nie mogłem przecież odmówić gościnności i zgadzałem się na ową tajemniczą herbatkę. Była to mieszanina rodzimych ziół, przypominających w smaku środki aplikowane przy dolegliwościach gastrycznych, określana przeze mnie (niewątpliwie złośliwie) mianem... „lubczyku".

Jak widać, przeżyłem doświadczenia z owymi ziołami, koszmar stanu wojennego, następnie „obalanie" komuny i jakoś egzystuję w nowym ustroju politycznym, nazwanym przez Annę Walentynowicz okresem terroru ekonomicznego (!?).

Jest okazja, by jeszcze raz podziękować sympatycznym paniom chemiczkom, zwłaszcza prof. dr hab. Krystynie B. Mędrzyckiej, za pomoc w trudnych czasach, co niniejszym czynię. A patrząc z perspektywy lat na przytoczony wcześniej dowcip, to można go nieco rozwinąć i zadać jeszcze jedno ważne pytanie: - *Co to jest małżeństwo chemiczne? Jest to związek kobiety i mężczyzny – kobiecian mężczyzny lub mężczyźnian kobiety.* Zależy kto gra pierwsze skrzypce w tym związku. Bliższe szczegóły nie są mi znane – jest to przecież domena naukowców z Wydziału Chemicznego.

Wspominał Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny

Odpust z grillem

albo Festiwal Dobrego Humoru

Trójka sprytnych chłopaków
(Marek, Maniuś i Radek)*
– co na co dzień luc-kości kit wciska:
„Trójmiasteczko – to najdłuższa wieś UE...
...damy im Sztukę, Zagrychę & Igrzyska!.."
Przecie my mistrze w szkleniu ekranów,
w pajęczeniu serialowej intryżki
– wygra Kloss na „13-m posterunku"?
Czy też „Kiepski" „Klan" Miki Myszki...?
Więc – bajoro piwa i bębny z muzyką –
– mendel jaj (rekord) w uśmiechniętej gębie
– kawior na twardo – pyton z musztardą...
i kicha z wodą ...na trójzębie...
Ech! Niczym świat rożen się kręci
– w pyszczku marcepan
(maestro oko puszcza)
kamery kręcą
(szmal kapie jak tłuszcz)
– Chłopaki – kielicha!!!
To ludożerka –
– sztuk i sztukamięs –
grilluje video-Borzycha.
I swąd zawodu zakołysał rynkiem
– werdykt! Lud ze szczęścia zapłakał...
O włos wygrał Ferdek z idolem Donaldem
– acz Kaczor był przedni (w 4-ch smakach)

....

Burleska się urwała o różowym świcie
– szpula goni taśmę, a film Chaplin goni...
W pustej Długiej śród śmiecia
z laseczką włóczykij
– wrzasnął: grillujcie! Lecz...
z szyldu – zabieram melonik!

*Marek Łochwicki, Marian Terlecki & Radosław Piwowarski – ojcowie FDH

Tadeusz Buraczewski
Stowarzyszenie Absolwentów PG
Koło SAR

Moje czterdzieści pięć lat spędzone w murach Alma Mater

Studia (cd.)

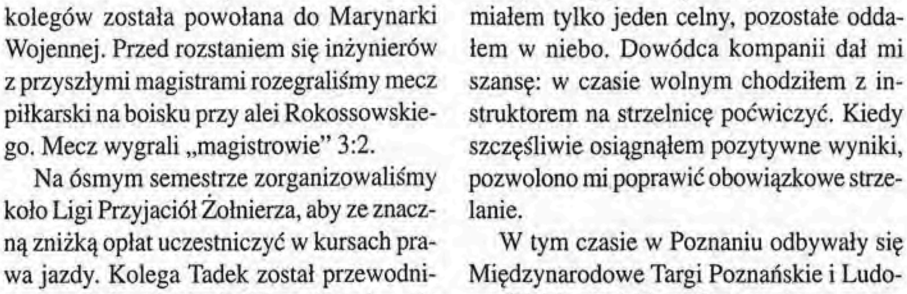
5. Studia – rok czwarty

Po praktyce pojechałem do domu na trzy tygodnie, aby trochę odpocząć i pomóc rodzicom. W Gdańsku znowu zmieniałem akademik z ul. Morskiej na osiedle akademickie przy ul. Wyspiańskiego, z czwórki na ósemkę. Najwyraźniej administracja uczelni przeznaczyła nas do osuszania nowych murów, zamieniając, nas w corocznych wędrowników. Zamieszkałem z Wiktorem i Przemkiem W., który w tym czasie był „bonzą" w komitecie uczelnianym ZMP. Życie w akademiku miało swoje złe i dobre strony. Trzeba było się przystosować do życia w zespole, uczyć się, odpoczywać, mieć chwilę na dyskusje, a nawet na grę w brydża. Rok czwarty naszych studiów był dla wielu z nas ostatnim. Wiadomo było, że część kolegów zdecyduje się zakończyć studia na dyplomie inżyniera. Po siódmym semestrze większość przystąpiła do pracy dyplomowej, natomiast grupa czterdziestu i czterech inżynierów z poprzednich lat przeszła na studia magisterskie. Z naszej sekcji statków śródlądowych na kursie magisterskim pozostało czterech: Wiktor, Jurek, Junior i ja; jeszcze w poprzednim semestrze zostałem starostą grupy. Wiązało się to z drobnymi obowiązkami, jak sprawdzanie obecności na zajęciach, załatwianie sal na wykłady i załatwianie w dziekanacie spraw dotyczących grupy.

W programie studiów siódmego semestru przybywało specjalistycznych przedmiotów: silniki spalinowe, maszyny parowe, kotły parowe, pomocnicze maszyny okrętowe, technologia budowy statków, zasady projektowania statków śródlądowych. Z niektórych przedmiotów wykłady prowadzili profesorowie z Wydziału Mechanicznego. W ósmym semestrze wróciła matematyka z prof. B. Czerwińskim, mechanika ośrodków ciągłych z prof. Wysockim, wytrzymałość konstrukcji cienkościennych z prof. J. Naleszkiewiczem, fizyka z prof. Adamczewskim, teoria okrętu z z-cą prof. L. Kobylińskim, technologia budowy statków z z-cą prof. J. Doerfferem, projektowanie statków z z-cą prof. W. Dobromirskim. Żałuję, że nie mieliśmy wykładów z prof. A. Rylke, który był nestorem okrętowców w Politechnice Gdańskiej i cieszył się wielkim autorytetem. Nasza czwórka zaliczała sesję egzaminacyjną, a pozostała piątka ślęczała nad pracą dyplomową i przygotowywała się do końcowego egzaminu. Przyszedł dla nich szczęśliwy koniec rozliczeń. Jeszcze tylko zaliczenie jednego obozu wojskowego – i z dyplomem inżyniera w kieszeni i nakazem pracy ruszyli na podbój stoczni w Trójmieście, Szczecinie i na śródlądziu. Znaczna grupa kolegów została powołana do Marynarki Wojennej. Przed rozstaniem się inżynierów z przyszłymi magistrami rozegraliśmy mecz piłkarski na boisku przy alei Rokossowskiego. Mecz wygrali „magistrowie" 3:2.

Na ósmym semestrze zorganizowaliśmy koło Ligi Przyjaciół Żołnierza, aby ze znaczną zniżką opłat uczestniczyć w kursach prawa jazdy. Kolega Tadek został przewodniczącym koła, a ja skarbnikiem. Kurs łącznie z egzaminem kosztował tylko 100 zł od uczestnika. Uczyliśmy się jeździć na starym terenowym willisie. Uruchamiało się go, kręcąc korbą, szczególnie gdy komuś zgasł silnik. Jazd mieliśmy zdecydowanie mniej niż obecni kursanci (3 do 4 godzin i 30 minut na motorze). Na egzaminie praktycznym pojechałem 200 m na prostym odcinku „końskiego traktu" w alei Rokossowskiego, cofnąłem w ulicę Śniadeckich, na motorze przejechałem jedno kółko i ósemkę na Placu Zebrań. Jeden z kolegów wsiadł na motor, zrobił ósemkę, kółko i egzaminator dał mu znak, aby zatrzymał pojazd. Lecz on z przerażeniem w oczach jeździł wciąż w kółko i krzyczał „zatrzymajcie mnie, bo się zabiję". Wszyscy zdali, a ten pechowiec miał poprawkę z jazdy motorem. Pierwsi inżynierowie budowy statków śródlądowych po zdanym dyplomie świętowali swój sukces, zapraszając naszą czwórkę. Przed nami był jeszcze obóz wojskowy, tym razem w okolicach Sulęcina. Transport odbył się podobnie, jak na pierwszy obóz w Legionowie, pociągiem towarowym. Dotarliśmy do bocznicy kolejowej w lesie w pobliżu budynków koszarowych, gdzie według opowieści kadry wojskowej koszarowała armia von Paulusa. Drugi obóz był mniej męczący niż ten w Legionowie. Słuchaliśmy wykładów i ćwiczyliśmy strzelanie na strzelnicy. Strzelanie nie było moją mocną stroną, na 5 strzałów miałem tylko jeden celny, pozostałe oddałem w niebo. Dowódca kompanii dał mi szansę: w czasie wolnym chodziłem z instruktorem na strzelnicę poćwiczyć. Kiedy szczęśliwie osiągnąłem pozytywne wyniki, pozwolono mi poprawić obowiązkowe strzelanie.

W tym czasie w Poznaniu odbywały się Międzynarodowe Targi Poznańskie i Ludowe Wojsko Polskie zafundowało nam wy-



Uczestnicy kursu magisterskiego z prof. B. Czerwińskim, marzec 1955 r.



Nasze „stokrotki" zakuwają do egzaminu dyplomowego, czerwiec 1955 r.

cieczkę na nie. Miesiąc pobytu na obozie wojskowym był podsumowaniem trzy i pół roku studium wojskowego. Wyszkolono nas na oficerów Ludowego Wojska Polskiego. Po zakończeniu obozu jako cywile rozjechaliśmy się do domów rodzinnych. Po tygodniowym pobycie w Radomsku pojechałem na wczasy studenckie do Kudowy. Po wczasach wróciłem do Gdańska. Dziwne, ale tym razem nie zmieniliśmy akademika. Wykonywałem prace zlecone w Zakładzie Projektowania Okrętów. W tym czasie niemal przy każdej katedrze w Politechnice Gdańskiej działały gospodarstwa pomocnicze, czyli zakłady zatrudniające pracowników opłacanych ze zleceń dla przemysłu. Nauczycieli akademickich zatrudniano dodatkowo na umowy o dzieło.

6. Studia – rok piąty

Z początkiem roku 1955/56 otrzymaliśmy nowe indeksy, które nie były takie ładne, jak poprzednie. Nasza sekcja miała wiele wykładów i ćwiczeń tylko w czwórkę. Na pierwszym semestrze magisterskim (letni w 55 r.) mieliśmy wykłady z wytrzymałości z prof. J. Naleszkiewiczem, a trudny egzamin miał być po wysłuchaniu wykładów na drugim semestrze magisterskim (zimowym). Wpadłem na pomysł, aby zamienić ten przedmiot na wytrzymałość wiązań statków śródlądowych u prof. A. Potyrały, odpowiednio to umotywowałem i w imieniu grupy jako starosta zgłosiłem tę propozycję dziekanowi. Zamiana została zatwierdzona, a my mieliśmy łatwiejszy egzamin. Mieszkałem z Wiktorem i Juniorem, który był najmłodszym studentem na naszym roku – na studia przyszedł mając niespełna szesnaście lat. W marcu 1956 r., wracając z domu po świętach wielkanocnych, w pociągu dostałem ataku wyrostka robaczkowego; konduktor widząc, że zwijam się z bólu, chciał dzwonić na następnej stacji po karetkę, ale wyperswadowałem mu tę decyzję, mówiąc, że jakoś dojadę do Gdańska. Wysiadając w Gdańsku, zawołałem bagażowego, aby zaniósł moją walizkę do przechowalni bagażu. Wsiadłem do taksówki, rzuciłem kierowcy: do szpitala na ostry dyżur. Trafiłem na oddział chirurgii prof. Z. Kieturakisa w szpitalu przy ul. Śluza (obecnie: prof. Z. Kieturakisa). Zadzwoniłem do Juniora, powiadamiając, że jestem w szpitalu, i poprosiłem, aby odebrał walizkę z przechowalni, bo zepsuje się „wałówka" jaką przywiozłem z domu. „Z marszu" wzięto mnie na salę operacyjną i po ośmiu dniach wróciłem do akademika.

W maju 1956 r. zorganizowano dla kadłubowców i naszej sekcji objazdową wycieczkę do Stoczni Szczecińskiej, Stoczni Głodowskiej i Wrocławskiej, do Zakładu Budowy Silników i Maszyn Parowych „Zgoda" w Świętochłowicach na Śląsku oraz turystyczny wypad do Krakowa. Opiekunem wycieczki był prof. J. Doerffer. Była to pełna wrażeń podróż i wszędzie spotykaliśmy naszych kolegów inżynierów pracujących prawie od roku. Po powrocie z tej wycieczki pojawiła się możliwość załatwienia praktyk pływających dla naszego kursu magisterskiego po raz pierwszy od 1948 r. , kiedy to po ucieczce paru studentów na Zachód praktyki pływające zostały wstrzymane. Załatwieniem spraw praktyk zajął się Wiktor.

Trzeci semestr magisterski zaliczyłem zgodnie z planem w czerwcu. Wcześniej w lutym zrezygnowałem z pracy w Zakładzie Projektowania. Wiktor podjął pracę w Katedrze Teorii Okrętów u prof. L. Kobylińskiego. Postanowiłem, że ostatnie wakacje będę miał wolne. Otrzymałem ponownie propozycję pracy właśnie w Katedrze Teorii Okrętów, tym razem złamałem się i podpisałem umowę z dniem 1 lipca 1956 r. Przyznam, że nie była to finansowo słuszna decyzja. Moja pensja pełniącego obowiązki asystenta wynosiła 900 zł, a stypendium miałem wtedy, również w wakacje, 600 zł. Ponadto miałem wcześniej załatwione wczasy studenckie w Karpaczu. Podpisując umowę 1 lipca 1956 r., nie miałem urlopu, ale na okres wczasów dostałem zwolnienie z pracy. Wracając z wczasów wstąpiłem tylko na parę godzin do Radomska. Uważałem, że jeśli podjąłem się pracy, to muszę należycie wywiązywać się ze swoich obowiązków. Należałem do pokolenia, które nie zadawało pytania „za ile?", ale „jak to zrobić?". Pracowałem z Wiktorem w jednej Katedrze. Postanowiliśmy, że kupimy wspólnie nowe radio „Stolica". Ten, który z nas pierwszy się ożeni, otrzyma je w wianie.

Lato 1956 r. było gorące, nie tylko z powodu wysokiej temperatury, lecz również sytuacji politycznej. Coś wisiało w powietrzu. Wybuchł poznański czerwiec, ale czuliśmy, że na tym się nie skończy. Szef Katedry, prof. L. Kobyliński, usilnie zabiegał, aby uruchomić okrętowe badania modelowe na otwartym akwenie. Nieśmiało eksperymentowano z wodolotami, pierwsze próby przeprowadzono na Motławie. Poszukiwania odpowiedniego akwenu zostały uwieńczone powodzeniem. Wybór padł na jezioro Jeziorak w Iławie, z uwagi na dogodny dojazd koleją. Na upatrzonym terenie użytkowanym przez PTTK znajdował się hangar i rozlatujący się slip do wyciągania z wody kajaków i mniejszych żaglówek. We wrześniu pojechałem z ekipą na próby wodolotu. Wiele pracy było przed nami. Problemem wodolotów zajmował się M. Krężelewski, wodoloty były również oczkiem w głowie Szefa. Silnik przyczepny do napędu naszego wodolotu był podarunkiem z demobilu Marynarki Wojennej. Sprawiał on nam duże kłopoty. Uruchamianie silnika zajmowało Mietkowi wiele czasu i ćwiczyło jego mięśnie, ponieważ posługiwał się metodą tradycyjną, pociągając za sznurek. Kiedyś podczas zapalania silnika usłyszeliśmy plusk. Szczęśliwie nie zauważyliśmy żadnych ubytków silnika. Po pewnym czasie Mietek, spoglądając na rękę, zapytał: „gdzie mój zegarek?". Spoczywa na dnie jeziora. Pocieszałem go, że znajdziemy zegarek, ale musimy mieć „lunetę", rurę aluminiową o średnicy 5 cm,



Na wczasach studenckich w Karpaczu – Świątynia Wang, lipiec 1956 r.

zaślepioną z jednego końca szkłem lub pleksi. Następny raz przyjechaliśmy w październiku, świeciło słońce, więc pierwszą sprawą było odszukanie zegarka. Luneta dobrze się spisała. Zegarek wyciągnięty i oczyszczony chodził długie lata.

Kupiłem w Iławie radio „Stolica"; wypróbowując je, dowiedzieliśmy się o październikowych wydarzeniach i słynnym wiecu na Żeraniu w Warszawie. Wróciliśmy do Gdańska.

7. Studia – rok szósty

Według wcześniejszych planów kurs magisterski mieliśmy zakończyć w semestrze zimowym roku akademickiego 1956/57. Jednakże ze względu na realizację praktyk pływających, semestr czwarty przeciągnął się do lipca 1957 r. Ponadto wydarzenia październikowe też wprowadziły pewne zamieszanie w toku studiów.

W Gdańsku odbywały się wiece na terenie Politechniki, z udziałem studentów i społeczeństwa Trójmiasta, a nawet, co dziwniejsze – przedstawicieli Marynarki Wojennej. Wiece trwały kilka dni, któregoś dnia redaktor „Głosu Wybrzeża" zabrał głos i stopniowo rozładowywał atmosferę tłumu, doprowadzając do jego rozejścia się. W Warszawie przywrócono do łask Władysława Gomółkę. Został wybrany pierwszym sekretarzem partii PZPR. Z Politechniki wyjechała do Warszawy delegacja z poparciem dla nowych władz, przewodniczył jej prof. J. Rutecki. Dziś już nie pamiętam dokładnie, którego to października wieczorem odprowadzaliśmy – studenci i mieszkańcy Gdańska – naszą delegację. Nieśliśmy pochodnię nadziei, zrywając tablice z nazwą aleja K. Rokossowskiego, i zmieniając je na aleja Zwycięstwa.

W październiku 1956 r., kiedy wybuchły zamieszki na Węgrzech, niespokojna brać studencka chciała działać, i kiedy wiecowaliśmy w akademiku, ktoś wpadł na pomysł, że zadzwonimy do Komitetu Wojewódzkiego Partii z propozycją pomocy bratankom węgierskim. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „w tej chwili to możecie słuchać radia Wolna Europa". Życie studenckie w akademikach i na uczelni było bardzo burzliwe. Wypadki październikowe przyspieszyły decyzję uruchomienia praktyk pływających. Mieszkałem dalej w akademiku, przenosząc się do pokoju naprzeciw, od ulicy, z współlokatorami Juniorem i Mundkiem Rejewskim. Wiktor zaplanował, kto z kim i kiedy oraz na jakim statku wypłynie. Mundek i ja wypłynęliśmy jako jedni z ostatnich na parowcu Polskiej Żeglugi Morskiej „Poznań", zbudowanym w 1927 r. we Francji, na którym w latach trzydziestych też odbył praktykę pływającą prof. J. Doerffer, jako student politechniki w Gdańsku.

W listopadzie i grudniu 1956 r. większość kolegów zdążyła wypłynąć w rejs. Większość – aby mieć „parę groszy" w obcych portach – zabierała ze sobą dozwoloną ilość polskiego alkoholu. Na statku otrzymywaliśmy za całą praktykę 5 dolarów. Nasz pokój (Mundek i ja) najczęściej witał powracających z rejsów lub żegnał wypływających. Obciążało to naszą kieszeń, bo dozwoloną ilość alkoholu musieliśmy uzupełniać.

Grudzień 1956 r. i styczeń 1957 r. były miesiącami ostrej kampanii wyborczej kandydatów na posłów. Politechnika wysunęła trzech kandydatów, okrętowcy oczywiście agitowali wyborców do głosowania na prof. A. Potyrałę. Na Święta Bożonarodzeniowe nie wyjechałem do domu, bo czekałem na rejs „Poznaniem".

Na początku stycznia w nocy spaliło się piętro budynku Katedry Teorii Okrętów, w którym jest basen. Było to przed moim wypłynięciem na praktykę pływającą. Siedziba Katedry mieściła się w Gmachu Głównym, a w spalonym budynku były pomieszczenia pracowników zakładu i warsztatów. Na czas odbudowy Katedra uzyskała pomieszczenie na poziomie poddaszowym północnego skrzydła Głównego Gmachu. Odbudowa z rozbudową o jedno piętro postępowała szybko, bo już na początku 1958 r. przenieśliśmy się do wybudowanych pomieszczeń.

Zaczął się karnawał, odbywały się zabawy studenckie i prywatki, najczęściej w sobotnie wieczory. My też zorganizowaliśmy (Mundek, Junior, Kola i ja) prywatkę. W tym okresie byłem bez dziewczyny, więc Kola mówi: „a ta chemiczka, która się tobie tak bardzo podoba?". Odpowiedziałem mu, że jeszcze jej nie poznałem. Nie wiem nawet, na którym roku studiuje. Decyzja była natychmiastowa. Wybrałem się z Kolą (Bułgar, jedyny obcokrajowiec na naszym roczniku) do żeńskiego akademika i zaczęliśmy prowadzić wywiad. Mieliśmy trochę szczęścia, bo jedna z koleżanek Koli miała indeksy całej grupy, ponieważ był to okres sesji egzaminacyjnej. Dziewczyna nazywała się Ania. Dowiedzieliśmy się, w którym pokoju mieszka. Poszliśmy ją zaprosić na naszą prywatkę, była zaskoczona, ale stanowczo odmówiła, gdyż w poniedziałek zdawała bardzo trudny egzamin, obiecując, że w innym terminie chętnie skorzysta z zaproszenia.

Za trzy dni zaokrętowaliśmy z Mundkiem na staruszka „Poznań". Był to 30-letni parowiec przewożący węgiel do portów zachod-



Autor na pokładzie s/s „Poznań", styczeń 1957 r.

niej Europy, w drodze powrotnej zaś najczęściej fosforyty. Umieszczono nas w maleńkiej kajucie na śródokręciu. Miejsca tyle co na piętrowe łóżko, małą szafkę na rzeczy, dwa siedziska i mały stolik. Posiłki jadaliśmy w mesie oficerskiej, kapitanem był pan Czubek, a kucharzem ojciec znanego boksera tamtych czasów, Stefaniuka.

Załadunek węgla odbył się w Nowym Porcie i w mglisty stoczniowy poranek wypłynęliśmy do Gandawy. Była to moja pierwsza podróż zagraniczna. Wcześniej dowiedzieliśmy się od kolegów, że coś sprzedać czy kupić najlepiej w Antwerpii u Żydów, którzy bardzo dobrze orientowali się w sytuacji w Polsce. Dla mnie było wielkim zaskoczeniem, że najlepiej w Polsce sprzedają się łańcuszki z medalikami, które można bez problemów przewieźć, a drobna opłata celna pobierana była od kilogramów towaru, co okazało się zgodne z prawdą.

Nasz staruszek „Poznań" płynął z prędkością marszową około 12 węzłów i spokojnie dotarliśmy do Gandawy. Ze względu na liczne kanały nazywana jest Wenecją Północy – jest portem śródlądowym, od zatoki Honer prowadzi w głąb lądu kanał Brugge-Gent. W czasie postoju w porcie byliśmy zwolnieni z naszych obowiązków. W rejsie chodziliśmy na wachty do kotłowni, maszynowni i na pokład, a na takim staruszku zawsze było coś do roboty.

Do nabrzeża w porcie dobiliśmy wczesnym rankiem. W ciągu jednej doby rozładowano 3000 ton węgla, starannie zamiatając z nabrzeża rozsypane grudki. W pierwszym dniu postoju pojechałem z Mundkiem do Antwerpii. Wspaniałe miasto, zrobiło na mnie duże wrażenie. Załatwiliśmy sprawy handlowe pomyślnie i wróciliśmy autobusem na statek. Na drugi dzień wybraliśmy się na zwiedzanie Gandawy, a statek załadowano taśmociągiem fosforytami. Pod wieczór wyszliśmy w morze. Czas rejsu upłynął błyskawicznie. Przeżyłem nawet mały sztorm o sile wiatru 9 stopni w skali Beauforta na Morzu Północnym, co dla tak małej łupinki było znaczące, ale ja wypadłem całkiem nieźle jak na „szczura lądowego". Powróciliśmy do Gdańska. Załadunek węgla trwał trzy doby i wypłynęliśmy do Francji. Zawinęliśmy do Boulogne sur Mer nad Kanałem La Manche. Efektywność pracy we Francji była zdecydowanie mniejsza niż w Belgi; rozładowywano nas 5 dni. Jeden z dokerów, Polak, zaprosił nas studentów do swojego domu na kolację. Miał liczną rodzinę, czwórkę małych jeszcze dzieci. Dziwiło mnie, ze dodatek rodzinny na dzieci wynosił tyle, ile jego zarobek. Pod balastem popłynęliśmy po fosfory do Gandawy, gdzie załadowano statek w ciągu doby, zaś załoga błyskawicznie zajęła się kupowaniem używanych samochodów. W drodze powrotnej wieźliśmy na pokładzie 10 różnych samochodów. Jeden z oficerów kupił 3 i namówił Mundka, aby jeden wpisał na siebie przy odprawie celnej.

By uzyskać zwolnienie z cła, Mundek udał się do Ministerstwa Żeglugi z oświadczeniem, że samochód kupił za zaoszczędzone dewizy, które jak każdy marynarz otrzymywał na statku. Zawinęliśmy do Nowego Portu w Gdańsku, pożegnaliśmy się z załogą i zakończyliśmy naszą praktykę pływającą.

Stefan Nawrocki
Emerytowany pracownik PG
Klub Seniora PG

PS. Przepraszamy za pomyłkowy podpis pod zdjęciem na str.42 w numerze listopadowym. Powinno być: „Na wycieczce po kraju, Katowice, maj 1955 r."

11 listopada – 85. rocznica odzyskania niepodległości

Najwyższym dobrem, jakie może mieć każdy naród, jest własne, niepodległe i suwerenne państwo

11 listopada – koniec powszechnej wojny ludów, o którą modlił się Adam Mickiewicz. Po przeszło stuletnim nieistnieniu powstaje współczesne Państwo Polskie. 12 listopada Rada Ludowa Wielkiego Księstwa Poznańskiego wydaje odezwę, iż głównym jej celem jest przyłączenie ziem zaboru pruskiego do odrodzonej Ojczyzny. Naczelnik Państwa Józef Pisłudski wysyła do państw sprzymierzonych, neutralnych i do Republiki Niemieckiej – telegram następującej treści: „Pragnę notyfikować rządom i narodom wojującym i neutralnym istnienie Państwa Polskiego Niepodległego, obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski. Sytuacja polityczna Polski i jarzmo okupacji nie pozwoliły dotychczas narodowi polskiemu wypowiedzieć się swobodnie o swoim losie.

Dzięki zmianom, które nastąpiły wskutek świetnych zwycięstw armii sprzymierzonych, wznowienie niepodległości i suwerenności Polski staje się odtąd faktem dokonanym.

Państwo Polskie powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych. Rząd Polski zastąpi panowanie przemocy, która przez sto czterdzieści lat ciążyła nad losami Polski – przez ustrój zbudowany na porządku i sprawiedliwości". Start Państwa powstającego bez tradycji państwowości po ponadstuletniej przerwie – to nieokreślone granice, zniszczenia wojenne, brak wojska.

Naród jednak odzyskiwał świadomość, dźwigało się państwo, którego trzeba było zaraz na wstępie bronić przed śmiertelnym zagrożeniem bolszewickiego najazdu.

Chłop polski, który wydawał powstańców styczniowego powstania w ręce rosyjskiego zaborcy – stanął solidarnie do walki o niepodległość.

Czasem słyszy się głosy, że walka ta dała nam tylko 20 lat wolnego państwa. Biorąc pod uwagę miarę dokonań narodu w tym okresie, można powiedzieć, że wywalczyliśmy aż 20 bezcennych lat, w czasie których powstało nowoczesne państwo, będące wzorem dla współczesnych pokoleń Polaków, 20 bezcennych lat w czasie, kiedy to odrodził się dumny patriotyczny naród, który bohatersko bronił honoru i wolności w 1939 r. i w czasie całej wojny na praktycznie wszystkich frontach świata, który stworzył podziemne państwo i ochotniczą Armię Krajową.

Obecnie znowu budujemy nowoczesne państwo, znowu odradza się naród, jednak nie budujemy od zera, również dzięki tym Polakom, budowniczym wspaniałego 20-lecia.

Wojciech Winiarski
Koło Kombatantów przy PG

Wystąpienie na jesiennym zebraniu Koła Kombatantów przy Politechnice Gdańskiej, poświęconym rocznicom narodowym.

Skyscraper – Wolkenkratzer – Drapacz Chmur

(gdański projekt z 1920r.)

Mówi się, że wiek XIX zakończył się praktycznie dopiero w momencie wybuchu I wojny światowej. Do tej bowiem chwili, przez całe sto lat, wyznawano w Europie filozofię stabilizacji, zapoczątkowaną jeszcze na kongresie wiedeńskim w latach 1814-1815. Zakończenie tej wojny otwierało nowe perspektywy pokojowego budownictwa na całym świecie. Stosowne możliwości otwierał tu dalszy postęp technologiczny, przyspieszony okolicznościami samej wojny. Szczególnie mocno zaznaczył się ten postęp w USA. Kraje Europy z zazdrością spoglądały na dalszy gwałtowny rozwój tego kraju w dziedzinie infrastruktury. W budownictwie, powszechnie podziwiano pęd Ameryki ku przestworzom – „skyscrapers", czyli drapacze chmur, były tego dobitnym wyrazem.

Dlatego nie można się dziwić, że w „starej" Europie pojawiały się wówczas tendencje podążania śladami Ameryki, choć zdawano sobie sprawę, że w kulturowej tkance miast europejskich bezkrytyczne naśladownictwo wzorów amerykańskich było dość ryzykowne.

Również w Gdańsku powstały wówczas podobne nastroje. Wyrazem tego jest opublikowany w lokalnej prasie odnośny artykuł[1]; poniżej przytoczono jego dokładne tłumaczenie.

Projekt drapacza chmur w Gdańsku

Dr.-Ing. Doeinck – Gdańsk, asystent politechniki

Niedawno gdańska prasa codzienna donosiła, że Gdański Związek Architektów i Inżynierów rozpisał konkurs na projekt wielkiego domu handlowego. Rozmiary projektu mają skalę, która znana jest do tej pory tylko z wybudowanych w Ameryce Północnej drapaczy chmur. Znalazło się zatem w Gdańsku miejsce na myśl, która poważnie rozważana była już w różnych miastach Niemiec - prowadząc do opracowania projektów, jak np. we Wrocławiu, Lipsku i Zgorzelcu. Poprzez ilustracje mógł chyba już każdy zaznajomić się z tymi budynkami, obcymi dla smaku europejskiego i o niekoniecznie zadowalającym wyrazie. Żeby jednak w ogóle można było taką ideę rozważać, aby podobną budowlę planować dla Europy, a cóż dopiero - dla Niemiec, wydawało się każdemu zupełnie wykluczone. W dającym się przewidzieć czasie, także przy ciągłym rozwoju, budowa taka w Niemczech wydawała się niemożliwa.

Przyczyny, które obecnie doprowadziły do takiego projektu, są też głównie innej natury, aniżeli te, które były powodem powstania takich budowli w Ameryce. Olbrzymi rozwój amerykańskiego handlu, w połączeniu z uprawianą tam polityką osiedleniową i terenową, doprowadził bardzo szybko do praktyki eliminowania z tzw. dzielnic biznesu jakiegokolwiek mieszkalnictwa. Wskutek tego osiągnięto większą koncentrację i ułatwienie komunikowania się świata biznesu w swoim własnym środowisku. Z drugiej strony, można było w dzielnicach mieszkaniowych bardzo łatwo utrzymać budownictwo otwarte. Dla ciągle dalej rosnącego handlu, będący do jego dyspozycji obszar w dzielnicy biznesu stał się bardzo szybko niewystarczający. Dalsze jego rozszerzenie było możliwe tylko wyjątkowo; powodowało to w dzielnicy biznesu nieograniczony wzrost cen gruntu, a jedynym wybiegiem mógł być tylko czynnik wysokości. Piętro sadowiło się na piętrze i to w sposób, który zwykle nie odpowiada wymogom europejskim ze względu na groźbę pożaru, czy też - z uwagi na potrzeby estetyczne.

Konkursowy drapacz chmur Gdańskiego Związku Architektów i Inżynierów powstał z pragnienia przyczynienia się do złagodzenia panującego aktualnie głodu mieszkaniowego. Nie chce się przez to powiedzieć, że ktokolwiek miałby w drapaczu chmur zamieszkiwać. Mimo że warunki konkursu taką ideę z miejsca wykluczają, to jednak można o niej czasem usłyszeć. Raczej myśli się tu o stworzeniu możliwości dla tych wielu ludzi interesu, lekarzy, adwokatów i przemysłowców, którzy mają swoje kwatery w prywatnych mieszkaniach Gdańska i Wrzeszcza, aby mogli znaleźć przydatną przestrzeń biurową. Liczby mieszkań, które przy tej okazji mogłyby być uwolnione, nie można na razie oszacować.

Tymczasem, wolno z pewnością twierdzić, że uwolnione wskutek budowy drapacza chmur mieszkania nie są akurat tymi idealnymi - jakich się dziś oczekuje i jak się je często wyczarowuje w projektach osiedli i planach budownictwa małych mieszkań. Jednakowoż, trzeba przy tym pamiętać, że te liczne projekty, które chcą walczyć z głodem mieszkaniowym, chociaż są wszystkie bardzo piękne, mają też wszystkie jedną wadę. Wymagają one mianowicie bardzo dużo czasu, materiałów budowlanych i pieniędzy - wszystkich tych rzeczy, którymi dziś w bardzo dużym stopniu na pewno nie dysponujemy. Tutaj trzeba zatem pamiętać, że budowa drapacza chmur może przyczynić się pozytywnie do złagodzenia aktualnie istniejącego głodu mieszkaniowego; tym bardziej, że drapacz chmur, w przeciwieństwie do małych osiedli, powinien być zbudowany bez pomocy państwowej czy miejskiej. Nie może też w ogóle budowa takiego drapacza chmur wpływać na obecny rozwój natury małych osiedli. Ten właśnie rozwój będzie nakierowany wzorcowo na usuwanie głodu mieszkaniowego i utworzenie takich siedlisk, jakich byśmy sobie życzyli. Kiedy to jednak nastąpi, tego dziś nikt nie wie, w przewidywalnym czasie - na pewno nie. Plan wybudowania drapacza chmur powstał z pomysłu szybkiej jego realizacji i to w



Der Plan eines Wolkenkratzers in Danzig.

Von Dr.-Ing. Doeinck-Danzig, Assistent an der Techn. Hochschule.

Vor kurzem ging durch die Tageszeitungen von Danzig die Mitteilung, daß der Danziger Architekten- und Ingenieurverein einen Wettbewerb zur Erlangung von Entwürfen für ein großes Geschäftshaus ausgeschrieben hat. Die Abmessungen des Projektes haben einen Umfang, wie man ihn bislang nur an den in Nordamerika ausgeführten Wolkenkratzern kennt. Es ist damit in Danzig einem Gedanken Platz gegeben worden, der in verschiedenen Städten Deutschlands bereits in ernsthafte Erwägung gezogen worden ist und zur Ausarbeitung von Entwürfen geführt hat, wie zum Beispiel in Breslau, Leipzig und Görlitz. Durch Abbildungen sind wohl einem jeden bereits solche Gebäude mit ihrem dem europäischen Geschmack fremden und auch nicht gerade befriedigenden Eindruck bekannt geworden. Daß aber auch nur der Gedanke erwogen werden könnte, ein solches Bauwerk für Europa geschweige denn Deutschland zu planen, erschien jedem Menschen so gut wie ausgeschlossen. Auf absehbare Zeit wäre auch bei stetiger Entwickelung ein solcher Bau in Deutschland unwahrscheinlich gewesen.

Die Gründe, die jetzt zu diesem Plane geführt haben, sind auch wesentlich anderer Natur, als diejenigen, welche in Amerika die Veranlassung zu solchen Bauten gegeben haben. Die ungeheure Entwickelung des amerikanischen Handels im Verein mit der dort getriebenen Siedelungs- und Bodenpolitik, führte sehr bald zu der Praxis, daß aus dem sogenannten Geschäftsviertel alle Wohnungen verbannt wurden. Damit wurde eine größere Konzentration und Erleichterung des Verkehrs der Geschäftswelt unter sich erreicht. Auf der anderen Seite konnte in den Wohnvierteln mit größerer Leichtigkeit eine offene Bauweise beibehalten werden. Dem immer weiter wachsenden Handel genügte sehr bald der im Geschäftsviertel zur Verfügung stehende Raum nicht mehr. Eine weitere Ausdehnung war meistens nur schwer möglich; als Folge davon wuchsen die Bodenpreise im Geschäftsviertel ins Ungemessene und man wählte den naheliegenden Ausweg in die Höhe. Stockwerk pflanzte sich auf Stockwerk und zwar in einer Weise, welche den europäischen Anforderungen namentlich in Bezug auf Feuersicherheit und Schönheit meistenteils nicht entsprechen.

Der vom Danziger Architekten- und Ingenieurverein ausgeschriebene Wolkenkratzer ist aus dem Wunsche entstanden, zur Linderung der augenblicklich herrschenden Wohnungsnot beizutragen. Damit soll natürlich nun nicht gesagt sein, daß jemand in dem Wolkenkratzer wohnen soll. Trotzdem die Art des Preisausschreibens diesen Gedanken von vornherein ausschließt, kann man doch mitunter diesen Gedanken hören. Es soll vielmehr allen den vielen Geschäftsleuten, Ärzten, Rechtsanwälten und Gewerbetreibenden, welche in Danzig und Langfuhr in Privatwohnungen untergekommen sind, die Möglichkeit geboten werden, in zweckmäßiger Lage geeignete Geschäftsräume zu erwerben. Die Zahl der Wohnungen, die dadurch frei werden können, ist vorläufig noch garnicht abzuschätzen.

Nun kann man gewiß mit Berechtigung sagen, daß die Wohnungen, die auf diese Weise durch den Bau eines Wolkenkratzers frei gemacht werden, gerade nicht die Idealwohnungen sind, wie man sie sich heute wünscht und wie sie uns in Siedelungs- und Kleinwohnungsvorschlägen so häufig vorgezaubert werden. Man muß aber dabei bedenken, daß die vielen Vorschläge, die der Wohnungsnot mit Kleinsiedelungen zu Leibe rücken wollen, zwar alle sehr schön sind, aber sämtlich einen großen Fehler haben. Sie kosten nämlich sehr viel Zeit, Baumaterialien und Geld, alles Dinge, die uns heutzutage ganz gewiß nicht in sehr erheblichem Maße zur Verfügung stehen. Da muß man nun immerhin bedenken, daß der Bau eines Wolkenkratzers in positiver Weise mit beitragen kann, die augenblicklich bestehende Wohnungsnot zu lindern; um so mehr weil der Wolkenkratzer im Gegensatz zu Kleinsiedlungen ohne staatliche oder städtische Unterstützung gebaut werden muß. Es kann auch garnicht der Bau eines solchen Wolkenkratzers die augenblickliche Entwickelung des Kleinsiedelungswesens beeinflussen. Dieses wird in vorbildlicher Weise einmal der Wohnungsnot steuern und Heimstätten schaffen, wie wir sie uns wünschen. Wenn es aber soweit sein wird, das kann heute kein Mensch beurteilen, in absehbarer Zeit jedenfalls nicht. Der Plan zum Bau eines Wolkenkratzers ist aus dem Gedanken geboren, möglichst bald, in einer Form, die sich schnell verwirklichen läßt, den größten Auswüchsen der Wohnungsnot zu steuern, ohne dadurch das großzügige, die Arbeit von Generationen erfordernde Programm des Kleinwohnungswesens zu beeinflussen.

Hierzu kommt, daß dieser gewaltige Bau mit einem Schlage auch alle Arbeitslosigkeit in Danzig beseitigen würde. Dadurch würden die Lasten der Stadt selbst wesentlich erleichtert werden und die durch die Arbeitslosigkeit geschaffene gespannte und unerquickliche Lage für längere Zeit behoben.

Dabei bleibt immer noch zu berücksichtigen, daß auch dieser Plan eines Wolkenkratzers auf ungeheure Schwierigkeiten stoßen wird. Die Sicherstellung des notwendigen Baukapitals wird vielleicht bei der heutigen Lage des Geldmarktes verhältnismäßig leicht sich ermöglichen lassen, wenn auch sehr hinderlich im Wege steht, daß bei den heutigen schwankenden Preisen ein genaues Veranschlagen der Bausumme sehr schwierig ist. Die wenig glückliche architektonische Lösung, die das Problem bislang in Amerika gefunden hat, wird unsere Architekten anfeuern, nun ihrerseits eine ästhetisch befriedigende Lösung für einen Bau von so gewaltigen Abmessungen zu erstreben. Es muß betont werden, daß hier eine Aufgabe von ungeheurer Tragweite und Verantwortung vorliegt. Danzig wird selbstverständlich nie eine Stadt der Wolkenkratzer werden.

Sollte nun der Plan Wirklichkeit werden, so wird der so entstandene Bau als Wahrzeichen der Not der jetzigen Zeit der Stadt sein Gepräge aufdrücken und zwar in weit höherem Maße als zum Beispiel die Marienkirche es jetzt tut. Auch diese konnte man ja seiner Zeit gewissermaßen als Wolkenkratzer auffassen und sie zeigt, daß eine befriedigende Lösung des Problems sehr wohl möglich erscheint. Von wo aus man auch auf Danzig schauen mag, immer wird dieser Bau das Bild beherrschen. Daraus mag man ermessen, welche Verantwortung dem Architekten erwächst, der es unternimmt, die Massen dieses Baues zu meistern und ihnen Form und Ausdruck zu geben.

Gestreift seien nur die Schwierigkeiten technischer Natur. Danzig hat bekanntlich schlechten Baugrund. Es wird wohl durchdachter Konstruktionen bedürfen, um in einwandfreier Weise das Gewicht eines solchen Bauwerkes bis auf guten tragfähigen Baugrund zu leiten, der manchmal 20 Meter und tiefer unter dem Gebäude liegt. Auch die Beschaffung der Baumaterialien wird bei der heutigen Knappheit und Isoliertheit Danzigs sicher nicht einfach sein. Zu diesen tatsächlichen Schwierigkeiten treten noch solche subjektiver Natur. Viele wird es geben, die von vornherein behaupten, die Wirkung eines solchen Baues verunstalte das sonst so charakteristische Bild Danzigs unter allen Umständen. Anderen wieder werden die eingangs erwähnten Gründe für einen Wolkenkratzer als Schaffer von Wohnungen nicht durchschlagend genug sein.

Aber es ist ja gerade auch der Zweck des Ausschreibens einmal gründlich alles für und wider einen solchen Plan zu hören und die Möglichkeit der Verwirklichung des Problems nach allen Seiten zu durchleuchten und zu untersuchen. Dann erst wird man zu einem berechtigten Urteil gelangen können. Und aus diesem Grunde wäre eine recht eingehende Behandlung der aufgerollten Frage von Seiten der weiten Kreise, die sie berührt, außerordentlich zu begrüßen.

[1] *Die Brücke, Nr 22 - 29.05.1920, str. 2*

takiej formie, aby móc zaradzić największym potrzebom mieszkalnictwa, bez wywierania wpływu na szeroko zakrojony program budowy małych mieszkań, wymagający pracy wielu pokoleń.

Do tego dochodzi fakt, że tak wielka budowa, za jednym zamachem, byłaby w stanie zlikwidować w Gdańsku także wszelki brak pracy. Wskutek tego byłyby istotnie zmniejszone obciążenia samego miasta, a wywołana brakiem pracy przykra i napięta sytuacja mogłaby być na dłuższy czas usunięta.

W tym wszystkim wypada jednak mieć na uwadze, że również sam projekt drapacza chmur natrafi na olbrzymie trudności. Zabezpieczenie potrzebnego kapitału inwestycyjnego, w obecnej sytuacji rynku finansowego, powinno być może sprawą stosunkowo łatwą, jeśli nawet dużą przeszkodą jest fakt, że przy dzisiejszych bardzo rozkołysanych cenach, trudno jest sporządzić dokładny kosztorys inwestycji. Mało szczęśliwe rozwiązania architektoniczne, które praktykowane były do tej pory w Ameryce, będą dla naszych architektów podnietą, żeby dla budowli o tak ogromnych rozmiarach, zdążać do wystarczająco estetycznego rozwiązania. Należy pokreślić, że jest to zadanie o olbrzymiej doniosłości i odpowiedzialności. Oczywiście, Gdańsk nie będzie nigdy miastem drapaczy chmur.

Gdyby ten plan stał się dziś rzeczywistością, to powstała wskutek tego budowla stałaby się znamieniem współczesnych potrzeb miasta, i to - w stopniu o wiele większym, aniżeli to czyni obecnie np. Kościół Mariacki (fot.1). Swego czasu, poniekąd, również jego można było uważać za drapacz chmur, co dowodzi, że zadowalające rozwiązanie tego problemu jest możliwe. Z jakiejkolwiek strony będzie się spoglądać na Gdańsk, zawsze będzie ta budowla opanowywać panoramę miasta. Można stąd ocenić, jak wielka odpowiedzialność wyrasta przed architektem, który podejmuje się ogarnąć ogrom takiej budowli i nadać jej właściwą formę i odpowiedni wyraz.

Zróżnicowane są tylko trudności natury technicznej. Jak wiadomo, Gdańsk ma liche podłoże gruntowe. Z pewnością będzie to wymagało przemyślanej konstrukcji, aby w sposób niezawodny przenieść ciężar takiej budowli aż na dobry nośny grunt, który niekiedy zalega 20 m i głębiej pod budynkiem. Również dostarczenie materiałów budowlanych, przy ich dzisiejszym niedostatku i izolcji Gdańska, nie będzie rzeczą łatwą. Do tych rzeczywistych trudności dochodzą jeszcze te natury subiektywnej. Znajdzie się wielu takich, którzy będą od początku twierdzić, że oddziaływanie takiej budowli będzie w każdych warunkach deformować ten tak charakterystyczny obraz Gdańska. Innym znowu nie wystarczą ukazane tu na początku powody przemawiające za drapaczem chmur - jako argumenty przekonywające do niego jako szafarza mieszkań.



Fot.1. Tusk D. et al.: Był sobie Gdańsk, wyd. I, Gdańsk 1996, str. 2

Jednakowoż, jest właśnie celem konkursu raz wreszcie gruntownie usłyszeć wszystkie za i przeciw takiego planu oraz wszechstronnie prześwietlić i zbadać możliwość jego zrealizowania. Dopiero wówczas będzie można dotrzeć do uzasadnionego sądu o tej sprawie. I z tego powodu trzeba by niezwykle mocno powitać bardzo szczegółowe potraktowanie poruszonej kwestii z punktu widzenia szerokiego zakresu spraw, które ona porusza.

Jak wiemy, omawiany w powyższym artykule drapacz chmur wówczas nie powstał; budynki wysokie – może niezupełnie typowe drapacze chmur – pojawiły się w Gdańsku dopiero za naszych czasów, po II wojnie światowej. Czy spowodowały w mieście likwidację głodu mieszkaniowego i bezrobocia? Pod tym względem oczekiwania z r. 1920 okazały się chyba płonne.

Może warto na koniec przypomnieć, że zbudowany przez prof. Stefana Bryłę w latach międzywojennych w Warszawie znany „Prudential", o wysokości 66,50 m, był do r. 1932 drugim najwyższym budynkiem Europy. Wpisał się bardzo dobrze w ówczesną panoramę Warszawy. Poważnie zraniony w r. 1944 podczas powstania warszawskiego, został po wojnie odbudowany i jako hotel „Warszawa" służy do dziś miastu nadal bardzo dobrze – chociaż teraz ma już wielu konkurentów.

Zbigniew Cywiński
Emerytowany profesor PG

Dom gdański

Temat to na tyle obszerny, że nie da się go w tak krótkim tekście wyczerpać. Napiszę więc tylko to, co udało mi się zauważyć, chodząc po ulicach, z rzadka sięgając do wiedzy historycznej i skupiając się na sprawach najważniejszych. Zasadniczą sprawą dla mnie jest to, iż kamieniczki były domami... jednorodzinnymi, w co dziś może trudno uwierzyć, nawet tam, gdzie zostały one odbudowane zgodnie z dawnym wyglądem, a nie jako atrapa czegoś, czym już nie są. Miało to istotne znaczenie zarówno dla układu ich wnętrz, jak i dla wyglądu fasad.

Tradycyjny dom niemieckich kolonistów był budowany zrazu z muru pruskiego (Słowianie woleli parterowe domy drewniane, kładzione na zrąb). Z muru pruskiego budowano głównie wyższe piętra i szczyty, służące za mieszkania i spichlerze. Dopiero z czasem te ostatnie przeniesiono na odrębną Wyspę Spichrzy, co można uznać za początek strefowania w urbanistyce, czyli rozdziału funkcji mieszkalnej od magazynowej – podobnie postąpiono z dzielnicą przemysłową, a nawet z klasztorami, które lokowano poza starówką (Głównym Miastem), na Starym Mieście lub przedmieściach. Takie domy ze spichlerzem na górnych kondygnacjach (o czym świadczą ich znacznie mniejsze okna) można zobaczyć jeszcze w Toruniu, który rozwijał się wolniej niż Gdańsk i zachował więcej cech średniowiecznych, nie mówiąc już o tym, iż w czasie wojny nie był wcale zniszczony. W Gdańsku jest tylko jedna atrapa w tym stylu na końcu Świętojańskiej przy hotelu Hanza, elementy tego zaś w budynku Muzeum Archeologicznego na Rycerskiej. Parter domu szachulcowego był często murowany z cegły i sklepiony, a ponieważ w nim właśnie umieszczano sklepy, stąd wzięła się ich nazwa. Z czasem, gdy warstwa kulturowa (czyli... śmieci) podniosła po-

ziom ulicy, owe sklepy stały się piwnicami (czyli miejscami do przechowywania piwa – było ono używane nie tylko do picia, co sugeruje jego nazwa, oznaczająca zrazu wszelkie napoje, ale i do zup etc., co sprawiało, że zapotrzebowanie na nie – a i samo spożycie – było duże). Owe sklepienia można obejrzeć na wykopaliskach przy hotelu Jantar na Powroźniczej, kościele św. Mikołaja przy Szerokiej i dawnym zamku krzyżackim na końcu Grodzkiej, czy w niektórych knajpach. Budując nowe, często wyższe domy, ich pierzeje cofano w głąb działki, co stworzyło typowe dla Gdańska tarasy zwane przedprożami. Łączyły one nie tylko schody wiodące do domu, którego parter znajdował się teraz wyżej niż poziom ulicy, ale – o czym się na ogół zapomina – i schody wiodące do piwnicy wprost z poziomu ulic. Formy tradycyjne, gdzie schody idące w górę i w dół nie tworzą jeszcze przedproża, można znaleźć w zabudowie przedmieść, np. na placu Wałowym i przy Polnej na Dolnym Mieście (tu: foto 1).

Tradycyjny dom wiejski składa się ze środkowej sieni i dwu izb po bokach (czarna służyła za kuchnię, biała była dla gości). Wejście do niego znajdowało się na dłuższej ścianie domu. W mieście było to niemożliwe, działki były wąski i długie, domy stawiano więc szczytem do ulicy. Zmuszało to do radykalnej zmiany w układzie wnętrza, bowiem wejście prowadziłoby do izby, zamiast do sieni. Rozwiązano to w ten sposób, iż sień zajęła cały przód i środek domu, do części mieszkalnej na piętrze wiodły schody, za nimi zaś znajdowała się kuchnia. Gości i klientów (dom był bowiem jednocześnie warsztatem lub sklepem) przyjmowano w sieni i na przedprożach, na piętrze mieszkał gospodarz, na wyższych piętrach lub w szczycie domu, w miejscu spichlerza, były pokoje jego dzieci lub służby. Z czasem, gdy brakło mieszkań, odstępowano poddasza i piwnice uboższym lokatorom, budowano też oficyny. Oficyna mogła również grać rolę dodatkowych pokoi (u bogatszych), czy warsztatu (u uboższych). Znajdowała się ona za domem, w tyle działki, wiódł do niej wąski korytarz po jednej stronie podwórka, drugą ograniczał mur i podobny korytarz domu sąsiada. Można to obejrzeć na zapleczu poprawnie odbudowanego domu Uphagena przy ulicy Długiej. Sienie były bardzo bogate, często bardziej ozdobne niż fasada domu. Jak wyglądały, można zobaczyć w paru odbudowanych kamienicach i ratuszu staromiejskim, ale jest i parę starszych, które przetrwały wojnę. Najbardziej podoba mi się ta z domu mieszkalnego na Rycerskiej, gdzie prócz ozdobnych schodów i drzwi do pokoi (dziś – mieszkań) zachował się interesujący plafon, a z dzieciństwa pamiętam, że ściana do wysokości oczu była wyłożona holenderskimi kafelkami, które niestety skuto.

Taka sień pozwalała na pionową komunikację we wnętrzu domu, pełniąc rolę współczesnej klatki schodowej. Ze względu na nią kamienice miały dawniej po trzy trakty; środkowy, komunikacyjny, był doświetlony z góry świetlikiem – w czasie powojennej odbudowy z reguły ograniczano się do budowy dwu traktów mieszkalnych, rezygnując z ciemnego, środkowego, ponieważ schody były już w *domu* obok. Dawniej schody przechodziły przez część mieszkalną domu. Nie było to problemem w kamieniczce, jak jednak rozwiązać tą kwestię w domu wielorodzinnym, jakimi były domy ubogich na przedmieściu? Zrazu bowiem nie umiano budować klatek schodowych, izolowanych od mieszkań. To dlatego dworki i chałupy wiejskie były parterowe, w mieście by-



łoby to jednak marnowaniem terenu. Najczęściej więc budowano schody zewnętrzne (można to zobaczyć nawet w małych domkach rybackich przy Bałtyckiej w Jelitkowie), czasem obudowane (m.in. w domach na Olszynce przy Mostowej), lub tzw. domy galeriowe. Te ostatnie budowano z muru pruskiego, w centrum miasta zakazanego już w końcu średniowiecza ze względu na łatwopalność. Do ulicy stały one nie szczytem, a kalenicą (czyli dłuższą stroną dachu), do mieszkań na parterze wchodziło się wprost z ulicy, do tych na piętrze wiodły drewniane schody i balkon. Nie przetrwały one wojny, poza jednym, choć przebudowanym parę lat temu, przy kościele św. Trójcy. Jeśli ktoś chce sobie to wyobrazić, może jednak łatwo odnaleźć ich współczesny odpowiednik, falowce Przymorza itp., aż po miniaturowe wersje na Zalesiu na Stogach. Z kolei dom przy Łąkowej 20 ma pierwotną wersję klatki schodowej z XIX w., gdzie schody oplatają wewnętrzne filary, co przypomina raczej wnętrze wieży zamku niż kamienicę.

Jeśli idzie o samą sień, to na zewnątrz o jej istnieniu świadczyły wysokie na dwa piętra okna najniższej kondygnacji. Dziś rzadko można je zobaczyć, nawet na Długiej w trakcie powojennej odbudowy dzielono je często na parter i niby-piętro, co nie tylko fałszuje wygląd fasady, ale wygląda dość dziwnie. Dawniej okna malały stopniowo w górę, największe były na parterze (sieni), średnie w pokojach mieszkalnych (odpowiedniku *piano nobile*, na piętrze, czasem dwóch), najmniejsze na najwyższym piętrze i w szczycie (foto 2a). Teraz wygląda to tak, że duże jest na parterze, pierwsze piętro ma bardzo malutkie, niemal kwadratowe, drugie znowu duże, a wyższe – mniejsze, co gubi pierwotną harmonię fasady i ułatwia rozpoznanie lipy odbudowy (foto 2b). Znacznie radykalniej postąpiono w tych domach, które tworzono dla uzupełnienia zabudowy, a nie odbudowy czegoś, co stało tu poprzednio – takie domy mają wszystkie piętra, a więc i okna równe od parteru po szczyt (foto 2c). Po wojnie nie odbudowywano kamieniczek jako osobnych domów, lecz jako bloki, często złożone z 2-3 i więcej *kamienic*, stąd nie tylko lipne okna (często lecą na jednej wysokości we wszystkich domach danej pierzei, jak na środku Szerokiej i początku Ogarnej), ale i brak... drzwi od ulicy w wielu *kamienicach* (foto 2c), choć na Szerokiej jest i taka, co ma dwoje drzwi. Niektóre z nich są tylko klatką schodową sąsiednich. Fatalnie wygląda, gdy ktoś wstawia sobie plastikowe ramy okien w mieszkaniu i nagle okazuje się, że obejmuje ono po połowie dwu *kamienic* (choć większość nowych ram szpeci je sama z siebie).

Ale fałszowanie fasad w stosunku do wnętrza domu nie jest czymś nowym, sienie dzielono (i niszczono przedproża) co najmniej od XIX w., a wszystkie wspomniane wady ma np. dom Schlütera z 1640 przy Piwnej 1, który po 1910 włączono w blok, dodając mu po bokach dwie *kamienice* (rycina 3). Najstarszym znanym mi przypadkiem takiej gry, i to na



bardzo wyrafinowanym poziomie, jest Kaplica Królewska z 1681, z zewnątrz udająca kościół o układzie centralnym, flankowany z obu stron identycznymi *kamienicami* (czy wzorowano się tu na, nigdy niezrealizowanym, pomyśle van der Blocka z Apoteozy Gdańska, ukazującej m.in. tak właśnie obramowany Dwór Artusa? Kaplica Królewska ma więcej takich smaczków, jak np. jedyną w dawnym Gdańsku kopułę – aluzję do św. Piotra w Rzymie – rzecz nieosiągalną dla miejscowych budowniczych, którzy chcąc stworzyć jakąś większą budowlę, powielali podstawowy motyw kamieniczki 2, 3 czy 4 razy, jak w kościołach, zbrojowniach itp.). W Kaplicy Królewskiej niby-kościół jest zorientowany ołtarzem na południe, a wejście ma na parterze w fasadzie północnej. Tymczasem wnętrze wygląda całkiem inaczej, wejście okazuje się bramą przejazdową na podwórko za kościołem (nawiasem mówiąc, jedno z najpiękniejszych miejsc w Gdańsku), a kościół na piętrze, nad przejazdem zajmuje również obie boczne *kamienice* i jest zorientowany na wschód, jak każdy tradycyjny kościół (stąd zresztą bierze się samo określenie *orient*acja). Innym ciekawym przykładem tej gry jest poprawianie XIX-wiecznych pojedynczych szerokich kamienic czynszowych na dwie wąskie gdańskie *kamieniczki* przez Otto Kloeppela, konserwatora miejskiego. Jego dzieł nie da się na ogół zobaczyć na mieście, do wyjątków należą prace czysto konserwatorskie, jak dom ryglowy przy kościele św. Katarzyny, dziś księgarnia angielska. Można za to znaleźć w naszej bibliotece (sygn. nr II 65646) jego bogato ilustrowaną pracę o tym, dedykowaną *w pierwszym roku narodowego odrodzenia* szefowi gdańskiej NSDAP, Forsterowi.

Skoro już wspomniałem o fasadach, to chciałbym ten temat rozwinąć. Dawny dom opierał się na ścianach bocznych. Zajęły one miejsce tzw. miedzuchów, czyli przerw między domami, które miały zabezpieczać przed przenoszeniem się ognia. Można to jeszcze zobaczyć przy Reducie Wyskok na Dolnym Mieście (nawiasem mówiąc, przedmieścia w ogóle pozwalają cofać się w czasie, można tu znaleźć wiele elementów zabudowy, której w centrum brak już od wieków). Z czasem miejsce przerw na miedzy pomiędzy domami zajęły bardzo grube mury przeciwpożarowe wykonane z samej cegły, na których opierały się nie tylko drewniane podłogi i dach, ale i *wiszące* na nich fasady. Te z reguły były ze skąpstwa cienkie, na jedną cegłę, co pozwalało na ich łatwą przebudowę, gdy zdaniem właściciela się zużyły czy wyszły z mody i chciał on w oparciu o stare mury postawić nową maskę. Podobnie budowano spichlerze, często więc możemy zobaczyć dziś ich ruiny bez fasad, a za to z dobrze zachowanymi ścianami bocznymi. Tradycyjne domy z fasadą wąską a wysoką budowano w Gdańsku do około 1840. Potem ich miejsce zajęły typowe dla innych miast kalenicowe kamienice czynszowe o szerokiej fasadzie, choć nieraz nawiązywały tu one swym wystrojem i tektoniką do dawnych kamieniczek. Widać to na starych domach w rejonie Gdyńskich Kosynierów, Lisiej Grobli i Rybaków Górnych koło Stoczni, a niegdyś na ogół i na Okopowej, gdzie szeroką ścianę kamienicy przecina lub wieńczy mniejsza *kamieniczka* klatki schodowej, wykuszu czy okien poddasza. Jeśli zaś idzie o wystrój fasad, to typowym chwytem stały się nawroty do manieryzmu. Gdański manieryzm rozwinął się w okresie największego rozkwitu miasta, na przełomie XVI/XVII w., i choć był inspirowany przez Niderlandy, w swym bogactwie nie ma tam swego odpowiednika. Złudzeniem nieuważnej obserwacji jest np. przekonanie o podobieństwie do Amsterdamu, gdzie domy prywatne były znacznie uboższe i bardziej klasycystyczne niż w Gdańsku, wystarczy porównać tamtejsze, zwyczajne boczne schody z przedprożami, czy maleńkie i proste szczyty z wielkimi, bogato zdobionymi i nieraz piętrowymi szczytami kamienic gdańskich (foto 2a).

Co to jest manieryzm? W naszym wypadku (manieryzm ma bowiem wiele lokalnych form) jest to budynek ceglany, jak w gotyku, z kamiennymi ozdobami drzwi, okien, gzymsów i szczytów, będącymi ukłonem w stronę renesansu (choć mi osobiście kojarzy się to i z... murem pruskim, łączącym cegłę z drewnem – kto wie, może była to jedna z inspiracji dla architektów północnej Europy). Budowle publiczne, jak Zbrojownia, Brama Zielona i inne były zdobione kolumnami, pilastrami, boniowaniem itp., a często i rzeźbą figuralną (co ciekawe, dominują w niej symbole witalności – dzieci, owoce, rogi obfitości itp., oraz ich strażnicy – rycerze, lwy gdańskie, różne bestie etc., rzadkie są natomiast elementy religijne czy – co jeszcze dziwniejsze w mieście portowym – symbole morza i handlu, które łatwiej znaleźć w Krakowie czy Wrocławiu). Domy prywatne były z reguły skromniejsze, a elementy klasycznych porządków architektonicznych ustępowały w nich miejsca, udającym metalowe okucia, kamiennym esom-floresom (określenie pochodzi od ich esowatej formy i, być może, pseudonimu ich wynalazcy, niderlandzkiego rzeźbiarza Florisa – foto 2a). By to zobaczyć, nie trzeba nawet jechać do (centrum starego) Gdańska, wystarczy popatrzeć na gmachy Politechniki, które są najciekawszą – najbliższą oryginału a jednocześnie najbardziej twórczą kontynuacją tego stylu w postaci gdańskiego neomanieryzmu z przełomu XIX i XX w. Ciekawy jest też budynek banku na Okopowej, łączący manieryzm z secesją. Inne domy z tego okresu były z reguły kopiami elementów budynków starszych (np. budynek Sejmu gdańskiego to





krzyżówka ratusza staromiejskiego z Domem Przyrodników, Bramą Zieloną itp.), często nie mieszkalnych, a publicznych, stąd nadmiar ozdób i nieznane ongiś, w budownictwie mieszkalnym przynajmniej, wieżyczki, balkony etc., co, jako *Disneyland*, potępił potem modernizm i co sprawiło, że ich nie odbudowano, o ile same wojny nie przeżyły. Nie brakło też przedproży (w *dworkach* na Tuwima we Wrzeszczu i Derdowskiego w Oliwie z lat 20.), kul i słupków przedprożowych itp. elementów dawnej gdańskiej architektury.

Ale i sam modernizm czasem nawiązywał do manieryzmu (a nawet kamieniczek). Jego elementy można dostrzec w blokach z okresu międzywojennego, np. przy Josewicza w Sopocie, pewne elementy przy Siennickiej w Gdańsku, Oliwskiej w Nowym Porcie i innych (np. na Dolnym Wrzeszczu, choć tu dominuje *ludowy gotyk*). Kontynuowano to (na ile świadomie?) w latach 50. na Starym Mieście i Osieku, czasem z tarasem w roli przedproża (foto 4) i z płaskim lub 4-spadowym dachem w stylu pobliskiej Poczty Polskiej i sierocińca, gdzie stanowi to większość i gdzie śladem owego socmanieryzmu idzie dziś postmodernizm, jak np. w budynku Kasy Chorych na rogu Podwali i Olejarnej. I tu dobrym przykładem mogą być niektóre nowsze kawałki Politechniki czy pobliskiego Conradinum. W tych nowszych wersjach manieryzm ogranicza się do prostych betonowych gzymsów i/lub obramowania drzwi i okien, udających kamień (ewolucję tę najłatwiej prześledzić na gmachu Wydziału Elektrycznego PG). Samo upraszczanie zaczęło się już wcześniej i niewykluczone, iż styl *okuciowy* w miejsce porządków klasycznych jest właśnie jego owocem. Inne style nie były tak ciekawe. Barok, poza paru realizacjami (domy na Długim Targu 3 i 20, przypisywane Schlüterowi, autorowi wystroju Kaplicy Królewskiej), był wręcz ubogi. Gładka tynkowana ściana bez ozdób, poza detalami portalu i prostego szczytu (o ile w Amsterdamie przypomina on dzwon czy schodki, o tyle w Gdańsku łączy jakby oba motywy – foto 2b). Więcej próbowało zdziałać rokoko czy klasycyzm, ale i one nie wyszły poza najprostsze formy – być może zabrakło inspiracji w postaci budowli publicznych, na które miasta w XVIII w. nie było już stać. Po upadku w początkach XIX w. budownictwo zanika niemal w ogóle. Jego ponowny rozwój następuje w II połowie tego wieku w formie znanej na całym świecie, i tylko czasami, najczęściej w okresie prosperity, powraca do tradycji w postaci kolejnych fal neomanieryzmu. Na tym więc chciałbym zakończyć ten szkic, proponując spacer po mieście jako sposób jego weryfikacji, a może i dalszych odkryć.

Janusz Waluszko
Biblioteka Główna

Tajemnice ludzkiej inteligencji (cz. IV)

Inteligencja twórcza

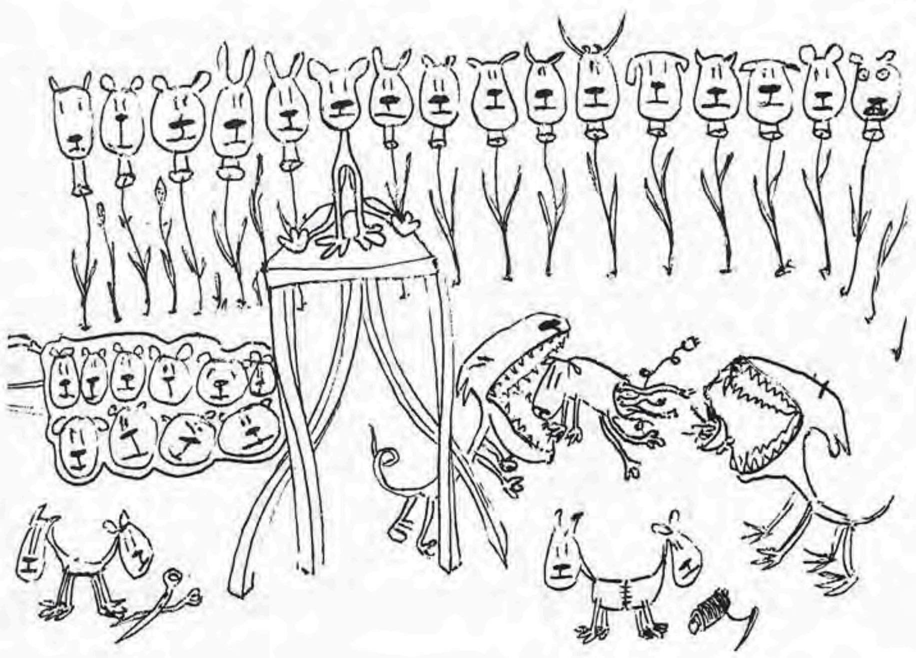
Proste rozwiązania są głosem Boga.
Naszą epokę zdaje się charakteryzować doskonałość środków i ułomność celów.
Albert Einstein

Każdy z nas ma marzenia, każdy chciałby coś zdobyć, coś osiągnąć. Najczęściej są to marzenia zwyczajne, dotyczące codzienności, środowiska, w którym się obracamy – rodziny, grona przyjaciół, miejsca pracy, najbliższego sąsiedzkiego otoczenia. I mamy też marzenia wielkie, tak nierealne, że nawet przed najbliższymi do nich się nie przyznajemy. Nie mówimy o nich, bo wydaje się nam, że ośmieszymy się, dzieląc się z innymi tajemnicą swego serca. Nie przyznajemy się do marzeń nie dlatego, że są złe, ale dlatego, że wydaje się nam, że przekraczają one nasze możliwości: wiedzę, umiejętności, zdolności. Nie wierzymy, że można spróbować je zrealizować, że można uczynić jeden mały krok, potem następny, i następny, i kolejne coraz pewniejsze kroki, które pozwolą osiągnąć upragniony cel.

W domu, w pracy mamy ciągle do czynienia z rodzącymi się problemami. Radzimy sobie z nimi, znajdując optymalne rozwiązania, bo mamy motywację – dobro najbliższych lub pozytywny wizerunek jako pracownika. Dlaczego więc nie pokusić się o fantazjowanie, które stanie się faktem? Wszystkie dzieci – podobnie jak i my te naście czy ...dzieści lat temu – mają nieprawdopodobnie rozwiniętą wyobraźnię, potrafią snuć opowieści na każdy temat, niczym nie ograniczając swej fantazji. W świecie dziecięcym wszystko jest możliwe, nie ma żadnej dyscypliny, porządku, rygorów. Wprowadza je dopiero szkoła, bardzo skutecznie zabijając wszelką spontaniczność i radosną twórczość.

A potem, w wieku dorosłym, realnie (= subiektywnie) oceniając nasze możliwości, stwierdzamy, że do bycia geniuszem absolutnie się nie nadajemy. Uważamy, że tylko nieliczni, głównie wielcy malarze, pisarze, muzycy, naukowcy, ludzie biznesu mogą odnosić sukcesy. Uważamy się za średnio inteligentnych, w związku z czym wiedziemy mało ciekawy żywot, zadowalając się studiowaniem karier „wielkich ludzi", które podsuwają nam mało ambitne czasopisma i codzienna prasa. W naszej wyobraźni utrwalił się schemat, zgodnie z którym tylko ludzie zajmujący się reklamą, rozrywką czy sztuką mogą być kreatywni, mogą działać twórczo.

Tymczasem każdy z nas może wyzwolić w sobie najprawdziwszego geniusza. Bowiem nikt z nas tak naprawdę nie zna swoich możliwości. Nikt nie wie, co potrafi, dopóki nie zacznie robić tego, czego do tej pory nie robił. Tylko od nas zależy, czy będziemy pomysłowi i twórczy, czy też pozwolimy wyczerpać się naszej pomysłowości. Jeżeli postawimy się w sytuacji dziecka, które nie patrzy na realność pomysłów i nie zraża się przeciwnościami, wówczas będziemy w stanie zrobić wszystko: zawsze znajdzie-



my właściwe rozwiązanie problemów, znajdziemy wyjście z każdej sytuacji, wyprzedzimy innych dzięki odkrywczym, nowatorskim metodom działania, będziemy umieli oddzielić dobre pomysły od złych oraz eliminować te, które mogą nam zaszkodzić, a przede wszystkim będziemy umieli zaprogramować „nieświadomy procesor pomysłów", aby rozwiązać każdy problem.

Przykładem twórczego rozwiązywania problemów jest komputer. Pierwsze elektroniczne urządzenia tego typu były trzydziestotonowymi potworami z setkami lamp. Były wprawdzie szybkie w działaniu, ale zarazem bardzo kosztowne. Uważano wówczas, że kilkanaście takich urządzeń zaspokoi całkowite potrzeby świata. Dzisiaj każda gra video dla dzieci ma podobną moc, a wszystkie komputery z lat pięćdziesiątych nie dorównują mocy obliczeniowej takiej gry podłączonej do Internetu.

Równie interesująca jest historia obsługi komputerów. Kiedyś, aby korzystać z tego dobrodziejstwa, wpisywano długie komendy składające się z szeregu liter i cyfr. Dzięki twórczej fantazji Steve'a Jobsa klikamy w maleńką ikonkę, a resztę operacji komputer wykonuje bez naszego udziału..

Telegraf, telefon, Internet, WWW, technologie cyfrowe i sieciowe są efektem ludzkiej wyobraźni, ułatwiają komunikację między ludźmi, będąc kolejnymi etapami technologicznej ewolucji. Człowiek oddał maszynie swoją inteligencję – komputer nazywany jest supermózgiem, ale żadne urządzenie nigdy nie wykaże się taką fantazją i kreatywnością jak człowiek. Szkoda tylko, że ciągle stawiamy tamę naszym możliwościom.

Pierwszą z barier, która uniemożliwia nam twórcze działanie, jest rutyna, złe nawyki i przyzwyczajenia. Te same ulice, sklepy, spędzanie wolnego czasu, sposób ubierania się wtłaczają nas w określone ramki. Wystarczy je co jakiś czas zmieniać, a także polubić to, czego się nienawidzi (nie jest to wcale takie trudne) oraz patrzeć na różne problemy życiowe, stawiając się w sytuacji innych osób (spojrzeć na sprawę z ich punktu widzenia), by wyzwolić w sobie inteligencję twórczą.

Ogranicza nam ją również brak motywacji do zmian, lenistwo, wygodnictwo, rezygnacja z marzeń, strach przed popełnieniem błędów, ośmieszeniem, posądzeniem o dziecięcą naiwność, żądzę sławy czy karierowiczostwo. Wiele można byłoby wyliczyć tu powodów, dla których rezygnujemy z przywrócenia życiu tęczowych barw i uwolnienia uśpionej kreatywności.

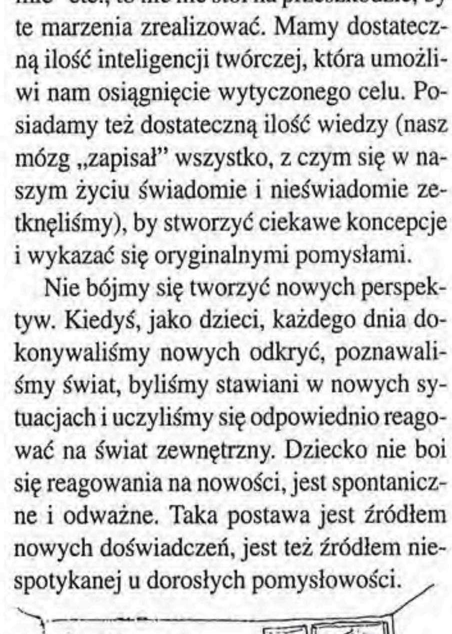
Tymczasem drzemią w nas wspaniałe możliwości, potężny potencjał twórczego myślenia, mnóstwo inspirujących pomysłów. Scott Thorpe, amerykański projektant robotów, symulatorów lotów, półprzewodników, komputerów i urządzeń medycznych uważa, że aby uaktywnić swoje ukryte zdolności twórcze, wystarczy wziąć przykład z Alberta Einsteina.

Pierwszą generalną zasadą Einsteinowskiego myślenia jest łamanie schematów myślowych. Ale zanim to nastąpi, należy jednoznacznie określić problem, który chcemy rozwiązać. Ponieważ nie ma problemów nierozwiązywalnych (są tylko zadania, których nie można wykonać), dlatego należy tak sformułować problem, by sprowadził się on do wykonalnego zadania. Nie może być on zbyt mały, bo go zbagatelizujemy, nie może też być zbyt duży, bo jego ogrom nas przytłoczy. Gdy chcemy osiągnąć wytyczony cel, musimy ignorować wszelkie ograniczenia twórczej swobody, eliminować stare odpowiedzi, maksymalnie upraszczać problem poprzez odrzucenie wszelkich zastrzeżeń, połowicznych rozwiązań i niepotrzebnych słów.

Ważną rolę odgrywa motywacja – im jest ona silniejsza, tym większa będzie nasza pomysłowość. Stephen Hawking szukał pracy, by utrzymać rodzinę, a zaowocowało to odkryciem tajemnic wszechświata. Zepsute kościelne organy dały światu kolędę „Cicha noc", śpiewaną przy gitarze. Jeżeli chcemy, by nasza motywacja do szukania ciekawych rozwiązań była dostatecznie silna, musimy zadać sobie trzy pytania: czy wierzę, że można problem rozwiązać? czy potrafię go rozwiązać? czy rozwiązanie go sprawi mi radość?

Jeżeli marzymy o tym, by wykonać osobiście zaprojektowany model statku lub samolotu, pojechać do Afryki na safari (przy braku odpowiednich środków finansowych), skomponować utwór muzyczny w stylu klasycznym lub hip-hopowym, namalować obraz jakąś nową, wynalezioną przez siebie techniką, kompletnie przemeblować mieszkanie, wygrać w konkursie „Milion w rozumie" etc., to nic nie stoi na przeszkodzie, by te marzenia zrealizować. Mamy dostateczną ilość inteligencji twórczej, która umożliwi nam osiągnięcie wytyczonego celu. Posiadamy też dostateczną ilość wiedzy (nasz mózg „zapisał" wszystko, z czym się w naszym życiu świadomie i nieświadomie zetknęliśmy), by stworzyć ciekawe koncepcje i wykazać się oryginalnymi pomysłami.

Nie bójmy się tworzyć nowych perspektyw. Kiedyś, jako dzieci, każdego dnia dokonywaliśmy nowych odkryć, poznawaliśmy świat, byliśmy stawiani w nowych sytuacjach i uczyliśmy się odpowiednio reagować na świat zewnętrzny. Dziecko nie boi się reagowania na nowości, jest spontaniczne i odważne. Taka postawa jest źródłem nowych doświadczeń, jest też źródłem niespotykanej u dorosłych pomysłowości.



Jako ludzie dorośli mamy marzenia, ale mamy też konkretne potrzeby życiowe, które należy zaspokoić: znaleźć pracę, zmusić dziecko do nauki, zdobyć pieniądze na operację, naprawić dach, rozwiązać problem alkoholizmu w rodzinie, zaopiekować się starymi, wymagającymi całodobowej opieki rodzicami, w pracy być osobą ambitną i kreatywną. Spraw mniej lub bardziej ważnych jest nieskończona ilość, a wyobraźnia nie podsuwa nam żadnych pomysłów na ich rozwiązanie. I tutaj mamy ogromnego sprzymierzeńca w sobie samych. Jest nim nasza podświadomość.

Jeżeli pragniemy odnieść sukces w każdej, nawet błahej sprawie, a nie wiemy jak się do tego zabrać, oddajmy to podświadomości. Zgromadźmy wszystkie potrzebne dane, a nasz mózg dokona za nas reszty. Trzeba tylko pamiętać, żeby do problemu podejść z radością i entuzjazmem, starać się, by nasze pobudki były dobre i szlachetne, nieegoistyczne i ukierunkowane nie tylko na osobiste powodzenie. Ważne jest również zawężenie specjalizacji do tej jednej sprawy, którą chcemy aktualnie rozwiązać.

Przykładem naukowców, którzy w swojej działalności zdali się na podświadomość, byli tacy uczeni jak Edison, Marconi, Kettering, Poincaré, Einstein, Tesla i wielu, wielu innych. Gdy mieli problem, który ich dręczył, odsuwali go na bok i czekali na olśnienie, iluminację, która następowała, zawsze przynosząc gotowe rozwiązanie.

Joseph Murphy, doktor trzech nauk – religioznawstwa, filozofii i praw, radzi, by każdą sprawę, która stanowi dla nas problem, najpierw świadomie i konstruktywnie przemyśleć, używając własnego rozumu, a dopiero potem oddać ją podświadomości. Olśnienie, które będzie odpowiedzią, przybierze formę intuicji, wewnętrznego zrozumienia albo przemożnego nakazu. Dzięki mądrości naszego subiektywnego umysłu nigdy nie poniesiemy porażki i nie zrobimy fałszywego kroku. Nie należy się zniechęcać, jeżeli olśnienie nie nastąpi po jednej nocy (najlepiej „oddawać" problem wieczorem, przed snem). Nasz umysł jest zawsze naszym sprzymierzeńcem i zna odpowiedź na każde pytanie, i nigdy nie można w to wątpić. Trzeba ufać swojej podświadomości, która jest skarbnicą naszej pamięci.

Mądrość zawarta w wiedzy, doświadczeniach i uczuciach, przejawiająca się intuicją i natchnieniami, może być (i jest faktycznie) źródłem naszej inteligencji twórczej. Każdy z nas ma dwie półkule mózgowe i w każdej z nich mieszczą się ogromne, niczym nie ograniczone możliwości. Jeżeli na co dzień używamy tylko jednej z nich, druga śpi, czekając na naszą decyzję uaktywnienia jej. Nie ma żadnych przeszkód, by cały mózg był aktywny. Tylko trening może spowodować, że rzeczy dla nas do tej pory obce, nierealne nagle okażą dostępne, a trudne problemy będziemy rozwiązywać jeżeli nie błyskawicznie, to na pewno skutecznie. I zrealizujemy każde, najbardziej nawet fantastyczne marzenie. I nie zastąpi nas w tym żadna maszyna, bo jak powiedział Pablo Picasso „Komputery są bezużyteczne. Udzielają tylko odpowiedzi."

Swoje rozważania o inteligencji twórczej zakończę pełnym pokory stwierdzeniem Alberta Einsteina: „Nie mam żadnych szczególnych uzdolnień. Po prostu długo ślęczę nad problemami".

Ewa Dyk-Majewska
Biblioteka Główna

rys. Kuba Gornowicz

Bibliografia:
1. Derrick de Kerckhove, Inteligencja otwarta. MIKOM 2001
2. Joseph Murphy, Potęga podświadomości. Świat Książki 1994
3. Jean Marie Stine, Rozwiń swoją inteligencję. Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media 2002
4. Scott Thorpe, Myśleć jak Einstein. Rebis 2002

Pana Ziemniaka Przypadki na Polibudzie



Kamil „Stefan" Jasiak,
student Wydziału Chemicznego

Narracja sobie a muzom

Platon w „Fajdrosie" ustami Tamuza mówi tak: *Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć; zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, a nie z własnego wnętrza, z samego siebie.* Ja zaś z niepokojem przypominam sobie pewne zdarzenia, które przytrafiały mi się ostatnio. Najpierw latem doświadczyłem serii podobnych doznań, zawsze w zatłoczeniu, jak np. ruchliwe przejścia przez jezdnię lub masowe imprezy. Otóż w tych sytuacjach otrzymywałem niepostrzeżenie kuksańce pod żebro... Na ogół staram się unikać tłoku, a podobnie bolesne doznania zostawiające sińce po bokach pamiętam sprzed kilkunastu lat z Moskwy, gdzie tym sposobem tamtejsza ludność zdobywała miejsca w środkach transportu publicznego i torowała sobie przejście w tłumie... Nie przypuszczałem, że podobne

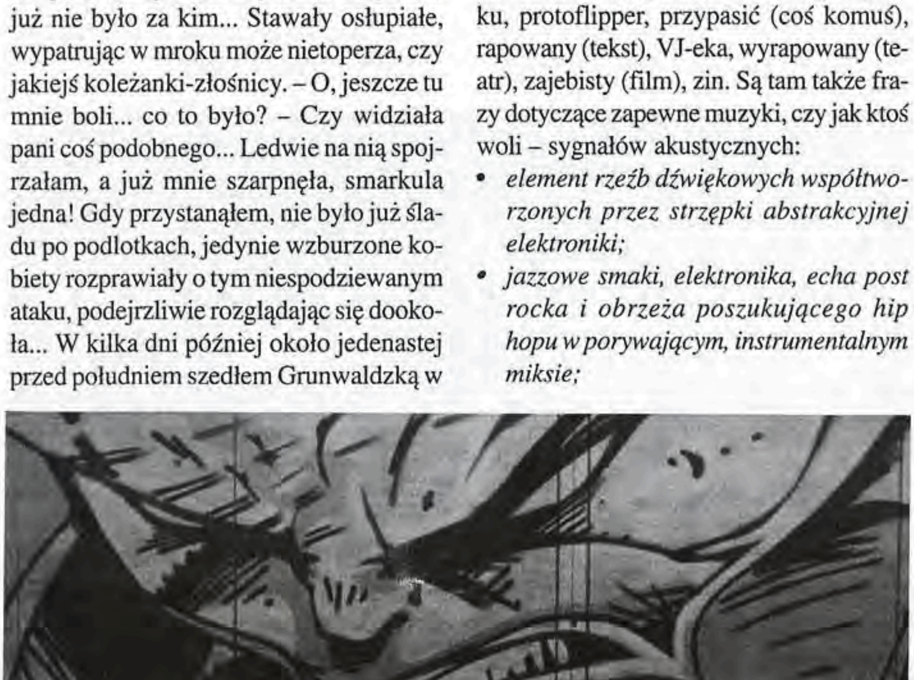
zabawy uliczne

dotrą do mojego supereuropejskiego Trójmiasta. Kolejne zdarzenie miało miejsce pewnego jesiennego wieczoru; gdy niemłode już panie zmierzały do domów po nabożeństwie różańcowym, z przeciwnej strony nadbiegały dwie dziewczyny, dziwnie lekko ubrane jak na tę porę. Niby wymachując w podskokach rękami – jak się później zorientowałem – targały owe kobiety za włosy. Nim się która obejrzała, już nie było za kim... Stawały osłupiałe, wypatrując w mroku może nietoperza, czy jakiejś koleżanki-złośnicy. – O, jeszcze tu mnie boli... co to było? – Czy widziała pani coś podobnego... Ledwie na nią spojrzałam, a już mnie szarpnęła, smarkula jedna! Gdy przystanąłem, nie było już śladu po podlotkach, jedynie wzburzone kobiety rozprawiały o tym niespodziewanym ataku, podejrzliwie rozglądając się dookoła... W kilka dni później około jedenastej przed południem szedłem Grunwaldzką w dół od Jaśkowej Doliny. O tej porze w mieście jest sporo ludzi, a tu chodnikiem jedzie, ale gdzie tam – pędzi z rozwianym włosem rowerzystka. Ujrzałem ją, gdy mnie minęła, zahaczając kierownicą o kieszeń kurtki. Tkanina stawiła opór, rower stracił impet i zatrzymał się kilka kroków przede mną. Sprawdzałem stan swojej odzieży i, spodziewając się przeprosin, już przywdziewałem uśmiech, gdy owa Walkiria, obracając głowę w moją stronę ze spojrzeniem Gorgony, wrzasnęła: – k...a mać! Po czym odepchnęła się chwacko i ruszyła z kopyta, siejąc popłoch wśród przechodniów. Wszystko to przypomina mi zdarzenia sprzed lat; otóż miewały wówczas miejsce przypadki gwałtownego popchnięcia w tłoku... Sprawcy pozostawali nieznani, a ludzie mówili, że były to wybryki członków jakiejś złowieszczej sekty... Nie czytałem o tym w gazetach, może dlatego, że już od lat preferuję

czytanki dla ubogich,

czyli prasę darmową – zero ryzyka finansowego, chociaż zawsze pewne ryzyko infekcji memetycznej [patrz: „Pismo PG" 7 (92) / 03, str. 51]. W październikowym numerze takiego właśnie pisemka, wyraźnie adresowanego do młodego konsumenta kultury, trafiłem na nieswoiste wyrazy: ambient, ciałość, clubbing, didżejka, dizajner, kumatość, luzacki i olewacki (etos), na maksa (coś być powinno), nurt cyberpunku, protoflipper, przypasić (coś komuś), rapowany (tekst), VJ-eka, wyrapowany (teatr), zajebisty (film), zin. Są tam także frazy dotyczące zapewne muzyki, czy jak ktoś woli – sygnałów akustycznych:

- *element rzeźb dźwiękowych współtworzonych przez strzępki abstrakcyjnej elektroniki;*
- *jazzowe smaki, elektronika, echa post rocka i obrzeża poszukującego hip hopu w porywającym, instrumentalnym miksie;*





- *kosmiczny feeling krautrocka i psychodelii;*
- *kwintesencja psychodelicznego, zatęchłego, stojącego w opozycji do mainstreamu, amerykańskiego, hiphopowego undergroundu;*
- *wibrujące dźwiękowe przestrzenie liryczne.*

Inne zaś zdania świadczą o głębszym namyśle autorów:

- *Niespełnienie życiowe, brak akceptacji ze strony kobiet, a szczególnie lęk przed utratą środków do życia, to motywy nader aktualne w dzisiejszych czasach.*
- *Obecnie funkcja przekazu informacyjnego podporządkowana polityce i biznesowi stała się globalną areną dla ścierania się poglądów, faktów, wyobrażeń i interesów. Dysponowanie informacją docierającą do milionów jest potężną bronią.*
- *Może my już nie chcemy nowych światów, może po tym, co się stało z radosną kolorowanką, którą nam ofiarowano wraz z „wolnością", mamy stracha, że znów zamiast pięknego obrazka wyjdzie potwór z najgorszego snu Samuraja Jacka?*
- *Wszystko, co zostaje skutecznie pożarte, skonsumowane i wyplute przez zachód trafia do nas jako nowość!*

Niewątpliwie jest to język młodych i ich sprawy. Ale czyżby tylko ich? Brytyjscy nauczyciele ubolewają nad trudnościami w ocenianiu wypracowań, czyli esejów, w których tamtejsze nastolatki, wyrażając swoje myśli w języku pisanym, posługują się wyrażeniami SMS-owymi. Zatem świat młodzieży staje się nieuchronnie światem nauczycieli, chociaż w innym kontekście. Wytwory techniki informacyjnej i komunikacyjnej (*Information and Communication Technology –*



ICT) kształtują dzisiaj całe społeczności, szczególnie intensywnie wpływając na najmłodszych. W procesie komunikowania zbędny staje się bezpośredni kontakt osobisty, a owa

nieidentyfikowalność interlokutora

sprzyja nabywaniu dziwacznych czasem nawyków i powstawaniu takichż wzorców zachowania. Gry komputerowe i symulatory rzeczywistości wirtualnej umożliwiają natychmiastowe i wielokrotne przeżywanie wrażeń i emocji w nierealnym świecie, konkurując z mniej rozrywkową, mniej błyskotliwą i niedynamiczną rzeczywistością realną. Skutki tego można zaobserwować podczas zajęć na semestrach początkowych. Wydaje się, że na uczelnię trafiają osoby zdecydowanie nieprzygotowane do podjęcia powinności studenta; pozyskanie ich zainteresowania i skupienie uwagi na toku zajęć wymaga coraz silniejszych i zmiennych bodźców zewnętrznych. Owo zderzenie młodzieżowej subkultury o rozmaitych rodowodach z kulturą uczelni akademickiej rodzi problemy właściwe komunikacji międzykulturowej. Remedium w tej nowej sytuacji edukacyjnej, zaobserwowanej już przy końcu 80. lat w USA, miały stać się

interaktywne metody nauczania

[patrz: „Pismo PG" nr 8 (93)/03, str. 28]. Innego sposobu wspomagania procesu dydaktycznego upatrywano w intensywnym wykorzystywaniu środków technicznych. Rzutnik pisma, komputer z dostępem do Internetu i projektor multimedialny stały się nieodzownym wyposażeniem sal lekcyjnych w nowoczesnych instytucjach kształcenia. Czarne tablice wraz z kredą szkolną, zastąpione białymi panelami i zestawem kolorowych pisaków, nabrały wartości eksponatu muzealnego. Jednakże niektórzy entuzjaści postępu bezkrytycznie ulegają pokusie hipermedialnej aranżacji zajęć, konkurując nieomal z kinem akcji i niejako przystając na redukcję roli nauczyciela do głosu zza ekranu. Sprzyja to dehumanizacji procesu dydaktycznego, który – przybierając cechy elektronicznego kształcenia na odległość – oddala się od tradycji bezpośredniej relacji mistrz-uczeń, tego najważniejszego atutu żywego, niewirtualnego uniwersytetu. Tymczasem współczesna, poprawna politycznie

komunikacja lekcyjna

zakłada upodmiotowienie ucznia oraz partnerstwo jego i nauczyciela, w ramach którego wspólnie tworzą oni treści jednoznaczne dla obu stron. Owe treści są zawarte w słowach i obrazach, czynnościach lub eksponatach. Narracja lekcyjna, czyli to, co mówi nauczyciel, jest jego/jej opowieścią – opisem jemu/jej znanego fragmentu rzeczywistości, a pośrednio także opisem miejsca, które on/ona w świecie zajmuje. Komunikat lekcyjny staje się zbiorem symboli, a powinnością nauczyciela jest spowodowanie u studentów takiej a nie innej ich interpretacji. Dwa są warunki powodzenia strategii dydaktycznej: pozyskanie przyzwolenia odbiorców komunikatu na jego przyjęcie oraz uznanie dekodowanych informacji za zgodne z ich własnym kodem znaczeń. Owo uzgadnianie, czyli

proces interpretacji znaczeń

przebiega w realnym środowisku, zatem komunikowanie dokonuje się w kontekście otoczenia fizycznego (oświetlenie, temperatura, jakość powietrza, wyposażenie techniczne i ergonomiczny komfort sali lekcyjnej itp.), społecznego (zwyczaje i wzorce różnorodnych zachowań sytuacyjnych, np. wykład, seminarium, spotkanie towarzyskie, koncert, dyskoteka, relaks itd.) oraz interpersonalnego (bezpośredni kontakt osobisty, np. relacje typu mistrz-uczeń, międzypokoleniowe, pracownicze, rodzinne, intymne itd.). Aby dynamiczny w swej istocie proces komunikowania poddać analizie, trzeba go unieruchomić niby stop-klatkę, co pozwala na wyodrębnienie trzech jego postaci:

- jednokierunkowego przekazu informacji od nadawcy do odbiorcy, gdy nadawca nie oczekuje reakcji lub nie otrzymuje odpowiedzi;





- interakcyjnej wymiany informacji pomiędzy nadawcą i odbiorcą;
- interaktywnej pętli transmisji, gdy nadawca i odbiorca współdziałają; tutaj każdy przebieg informacji jest nieco inny, a znaczenia mogą ulegać kolejnym modyfikacjom.

Wypada zauważyć, iż rzeczywisty kontakt komunikacyjny przebiega wielofazowo, rozmywając niejako owe postaci kanoniczne, a sama interpretacja znaczeń zależy od aparatu poznawczego, ukształtowanych już mentalnych struktur wiedzy oraz od jakości i ilości „tkwiących" w nich informacji. Ale obserwując sytuacje codzienne, można zauważyć osobliwą postać komunikacji, czyli

gry komunikacyjne,

które podejmujemy z mamą-karmicielką już w pierwszych chwilach naszego istnienia, z biegiem czasu wciągając w nie coraz to nowych partnerów. W latach dziecięcych są to wyliczanki i zgadywanki, wymagające znajomości prawidłowych odzywek. Kto pamięta zabawę w pomidora: – Kto ty jesteś? – Pomidor. – Co tu masz? – Pomidor itd. Innym przykładem jest „hasło i odzew"; niezapomniane uczelniane studium wojskowe trwa nadal żartach-zapytaniach, np. – Co żołnierz ma pod łóżkiem? Z czego składa się dzida bojowa ogólnowojskowa? Co to jest góra i w jaki sposób? Natomiast z życia cywilnego pochodzą takie sekwencje, jak np. – Czym różni się koń od koniaku? – Czy kota się pierze? Innym przykładem zagadek są dowcipy seryjne, jak przykładowo te o blondynkach, np. dlaczego rzeczona, wsiadając do tramwaju, kasuje dwa bilety? A ja zapytuję: co to jest

kreatywna autowideodokumentacja?

Otóż jest to amatorski filmik VHS wyprodukowany 19 maja 2003 r. w Technikum Budowlanym w Toruniu, szeroko upowszechniony we wrześniu przez publiczne i prywatne środki masowej informacji. Niestety, twórcy, komunikując światu zewnętrznemu tajemnicę pewnej lekcji języka angielskiego, nie znaleźli zrozumienia dla tego eksperymentu komunikacyjnego, ani uznania dla siebie. Do gier komunikacyjnych zaliczyć można również sprawdziany wiedzy. A propos, na pomysł oceny, czyli przypisywania wartości liczbowej ludzkiej myśli, czy szerzej – myśleniu, wpadł prawdopodobnie w 1792 r. niejaki William Farish, profesor inżynierii w Cambridge. Dzisiaj niektórzy egzaminatorzy z lubością stosują test wyboru – surogat komunikacji. Umożliwia on wykazanie zgodności znaczeń za sprawą przypadku, co nagradzane jest stosowną oceną, nawet bardzo dobrą. Rezultat owego testu staje się więc oceną zasobu informacji posiadanych przez egzaminowanego, jego stanu wiedzy, a nawet – o zgrozo – prawidłowości jego rozumowania! Podobnie budzić wątpliwości mogą interpretacje wyników badań opinii publicznej, a także formułowanie opinii o rzeczywistym nauczycielu na podstawie anonimowego kwestionariusza ocen wystawianych mu przez mniej lub bardziej wirtualnych, bo nieidentyfikowalnych studentów, o których nawet nie wiadomo, czy rzetelnie – a nawet, czy w ogóle – uczestniczyli w ocenianych przez siebie zajęciach. Zagadnienia komunikacji międzyludzkiej w procesie dydaktycznym dotykają fundamentalnego dylematu moralnego:

czy przekazywać informacje, czy nauczać sposobów rozumowania?

Kunsztowne wyposażanie ucznia w narzędzia warsztatu poznawczego oraz konstruowanie struktur systemów wiedzy jest dla jednych powinnością i wyzwaniem, inni zaś traktują to zgoła inaczej. A przecież politechniczna edukacja akademicka, to nie wyłącznie znawstwo zawodowe, ale to także pomoc młodemu człowiekowi w jego układaniu się z życiem w warunkach niepewności losu i lęku przed jutrem, to wychowywanie do demokratycznego uczestnictwa i wartości etycznych sprawdzalnych w praktyce, to w ostatecznym rozrachunku edukacja społeczno-kulturalna, uwalniająca twórczy potencjał człowieka działającego dla dobra rzeczywistych społeczności. Jak temu celowi służą stosowane strategie i narracje lekcyjne? A Tamuz w „Fajdrosie" słowami Platona dalej przepowiada: *Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiędą bowiem wielkie oczytanie bez nauki i będzie się im zdawało, że wiele umieją, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będzie trudno; to będą mędrcy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę.*

PS. Ilustracje przedstawiają tzw. walki – malowidła uliczne widoczne na obiektach budowlanych w Gdańsku-Wrzeszczu; dokumentację sporządzono 29 października 2003 r. (fot. autor)

Waldemar Affelt
Wydział Inżynierii Lądowej

Z teki poezji

Wróżby

Z chmur wywróżę sobie miłość
a z ręki pogodę
z piany morskiej czułe słowa
z ust twoich przygodę
z fal różowe pocałunki
w godzinie radosnej
z woni kwiatów ukojenie
z bicia serca wiosnę
nocą światło gwiazd błyszczących
na nieba błękicie
z szumu wiatru żar uczucia
z ciepła dłoni ciszę
z drzew zieleni dobre życie
z uśmiechu nadzieję
z ptaków śpiewu słodycz chwili
gdy dla mnie się śmiejesz
z płatków róży serca drgnienie
z oczu barwną tęczę
z ziarnka piasku wielką radość

Maria Piszcz
Wydział Chemiczny



DBAJMY O JĘZYK !

Nie zawsze na przedostatniej sylabie, czyli o akcencie

Akcent (przycisk) wyrazowy w języku polskim jest w zasadzie stały i w wyrazach rodzimych pada na przedostatnią sylabę (akcent paroksytoniczny). Pod tym względem polszczyzna różni się od wielu innych języków, na przykład angielskiego czy rosyjskiego, w których akcent może padać na różne sylaby. Co więcej, złe akcentowanie w tych językach może narazić nas na śmieszność lub niezrozumienie. Osoby znające język rosyjski wiedzą na przykład, że wyraz rosyjski *pisat'* można wymówić dwojako: jeśli akcentowana jest druga sylaba (*pisat'*), wtedy znaczy on „pisać", gdy natomiast położymy akcent na pierwszej (*pisat'*), wtedy Rosjanin usłyszy „siusiać".

Odstępstwo od akcentu paroksytonicznego w języku polskim polega na tym, że pewne wyrazy akcentowane są na ostatniej, trzeciej od końca lub czwartej od końca sylabie (zgłosce).

Przykładem pierwszej grupy mogą być złożenia niektórych wyrazów jednosylabowych z poprzedzającymi je członami: ***arcy-***, ***eks-***, ***wice-***. Oto przykłady (sylaby akcentowane zostały podkreślone): *arcyleń*, *eks-mąż* (albo *eksmąż*) i *wiceszef*. Akcent na ostatnią sylabę pada też w niektórych wyrazach obcych, jak np. *savoir-vivre* czy *à propos*. Z wyrazów rodzimych taki akcent ma tylko wyraz akurat. Ponadto często akcentowana jest ostatnia sylaba w skrótowcach: *pekape* (PKP), *esemes* (SMS) czy *peerel* (PRL).

Akcent wyrazowy na trzecią sylabę od końca pada w następujących grupach wyrazów:

a) formy pierwszej i drugiej osoby liczby mnogiej czasu przeszłego – np. *widzieliśmy, widzieliście, biegliśmy, biegliście*, a także niektóre inne wyrazy z końcówkami ***-śmy, -ście*** – np. *abyśmy, skorośmy, któregoście;*

b) formy trybu warunkowego w pierwszej, drugiej i trzeciej osobie liczby pojedynczej oraz w trzeciej osobie liczby mnogiej: *wymyśliłbym, zdobyłbyś, poszedłby, byliby;*

c) liczebniki z końcówkami ***-sta*** lub ***-set***: *czterysta, czterystu, sześciuset, osiemset, dziewięćset, dziewięciuset, kilkaset;*

d) wyrazy zapożyczone zakończone na ***-ika***, ***-yka***: *politechnika, polityka, matematyka, Ameryka* (przy odmianie przez przypadki akcent ten zachowuje się, jeśli w danym przypadku jest tyle samo sylab, co w mianowniku – w przeciwnym razie akcentowana jest przedostatnia sylaba, na przykład: *politechnikami*);

e) wyrazy pochodzenia obcego zakończone na ***-ik***, ***-yk*** w tych formach przypadkowych, w których liczba sylab sylab jest taka sama jak w dopełniaczu liczby pojedynczej – a zatem we wszystkich oprócz mianownika (np. *statystyk*) i celownika liczby pojedynczej (*Meksykowi*) oraz narzędnika liczby mnogiej (*informatykami*); a oto kilka przykładów: o *statystyku*, w *Meksyku*, *informatykiem*, *romantycy*, *muzyków* (zasada ta nie dotyczy jednak wyrazów rodzimych, zatem należy akcentować: *prawnika*, *prawnicy*, *przemytnik*, *przemytnicy*);

f) niektóre inne wyrazy zapożyczone, np.: *leksykon*, *ryzyko*, *opera* (w znaczeniu 'utwór sceniczny' lub 'budynek, w którym wystawiane są opery'), *uniwersytet*, *technikum*, *optimum*, *minimum*, *maksimum*, *rezerwuar*, *repertuar*.

Akcent wyrazowy na czwartą sylabę od końca pada w formach pierwszej i drugiej osoby liczby mnogiej trybu przypuszczającego: *chcielibyśmy*, *pisałybyście*, *robilibyśmy*, *robilibyście* itp.

Oprócz tego w niektórych wyrazach występuje tzw. akcent chwiejny, czyli nieustabilizowany, gdyż przycisk może w nich padać na trzecich sylabach od końca lub na przedostatniej, jak w następujących przykładach: *festiwal* albo *festiwal*, *ocean* a. *ocean*, *Jerozolima* a. *Jerozolima*, *komitet* a. *komitet*, *prezydent* a. *prezydent*. Dwie formy akcentowania występują również w wyrazach: rzeczpospolita, okolica, analiza, ale językoznawcy zalecają warianty: *rzeczpospolita*, *okolica*, *analiza*; dotyczy to zwłaszcza oficjalnej nazwy naszego państwa *Rzeczpospolita Polska*. Niepoprawne jest jednak akcentowanie na trzeciej zgłosce od końca dowolnie wybranych wyrazów obcych, jak również wyrazów rodzimych, takich jak: *nauka*, *stolica* czy *rocznica*. Należy zatem akcentować: *ekipa*, *muzeum*, *liceum*, *atmosfera*, *biblioteka*, *prezydium*, *kamera*. Szczególnie rozpowszechnione jest niepoprawne akcentowanie wyrazu ***nauka***, co dotyczy także, niestety, profesorów, rektorów, a nawet ministrów edukacji narodowej. Przypomnijmy zatem, że jest to słowo rodzime i ma trzy sylaby: **na-u-ka**.

Ponieważ zbliża się Nowy Rok, przypomnijmy też, że poprawną formą jest: rok ***dwa tysiące czwarty*** (a nie 'dwutysięczny czwarty').

Stefan Zabieglik
Wydział Zarządzania i Ekonomii

Podróże w przestrzeni i w czasie

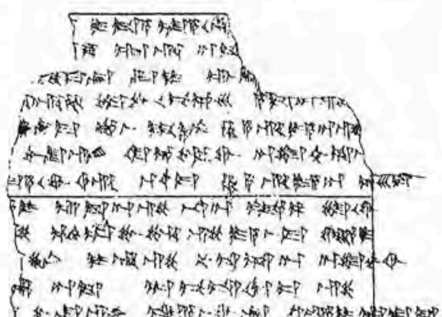
Magia, magowie i czarownice

Opowieści o dawnych rytuałach, ceremoniach i o magii do dziś wzbudzają zainteresowanie, a nawet emocje. Najważniejszym elementem każdej magii zawsze jest osoba, która czyni tą magię, wypowiada zaklęcia, odprawia rytuały, zwracając się o pomoc do sił przyrody, duchów przodków czy duchów zwierząt. Trudno nam dziś zaakceptować te praktyki, a nawet spróbować je zrozumieć. Zapatrzeni w najnowsze osiągnięcia techniki odrzucamy naukę o ludzkim duchu, czy o ludzkim umyśle. Nie oznacza to jednak, że pewne zjawiska, których nie rozumiemy i nie akceptujemy, nie istnieją. Wszystkie kultury wywodzą się z pierwotnych tradycji plemiennych, przepojonych magią. Przez całe tysiąclecia podlegały one różnym wpływom i ulegały zmianom.

Najdawniejsze praktyki magiczne mają korzenie w magii czarowników i szamanów. Pomimo zrozumiałych różnic, uwarunkowanych praktykami religijnymi, różnicami geograficznymi i przyrodniczymi, szamanizm miał pewne cechy wspólne: był nierozerwalnie powiązany z magią; szamani używali świętych roślin, kontaktowali się z różnymi totemicznymi zwierzętami; nawiązywali też łączność pomiędzy światem żywych i umarłych. Do dziś fascynują nas tajemnicze monumentalne budowle ery megalitycznej, które możemy podziwiać w Anglii i w Irlandii, zagadkowe kamienne kręgi. Trudno nam zrozumieć magię i mistykę tamtych obrzędów, np. obrzędów pochówkowych Celtów. Dzięki licznym badaniom tego okresu wiadomo już, że w epoce megalitu pojawiła się czczona powszechnie postać Wielkiej Matki, która miała moc przywracania umarłych do życia. Siła tej magii musiała być naprawdę ogromna. Potwierdzają to mity z tego najdawniejszego okresu. Pierwsze czarownice i szamanki były znachorkami, które leczyły, szukały roślin leczniczych; przekazywały też swoją wiedzę z pokolenia na pokolenie. Z czasem, gdy plemiona łowców zaczęły się łączyć, matriarchat stracił swą siłę i miejsce znachorki zajął czarownik. Nie tylko leczył – był również przywódcą duchowym, przywoływał duchy i wróżył. „Czarownik, zaklinacz, wieszczek lub szaman, aby nabrać uzdrawiających i wróżebnych mocy musi osiągnąć umiejętność wejścia w trans, zyskać poczucie wewnętrznego naznaczenia, stan zwiększenia osobowości, a niekiedy jasnowidztwa. Dopiero wtedy widzi zarówno duchy, jak i duszę, potrafi usunąć skutki chorób gnębiących ciała i umysły. Różni się od psychoterapeuty i psychiatry tym, że głęboko wierzy w ponadludzką moc, nadaną mu przez Boga lub siły natury" (J. Niżnikiewicz, "Tajemnice starożytnej medycyny i magii"). Przykładem działania tych potężnych sił psychicznych mogą być przypadki „śmierci zadanej", spowodowanej przez czarowników (np. w Afryce czy w Australii). Po rozpadzie społeczeństw pierwotnych rolę czarownika przejął szaman. Postać szamana kojarzy się z rytualnym nakryciem głowy, zakrywającym oczy, ponieważ duszę można dostrzec „wzrokiem wewnętrznym i doświadczeniem pozazmysłowym"; z rytualnym strojem, grzechotkami, tarczami, obrzędowymi maskami, łukiem, bębnami, ziołami, dymem, którym szaman okadza tego, komu ma pomóc. Szaman często wykonuje magiczny taniec, wiruje w rytm taktu, wybijanego na bębenku, wpada w trans. Dokonuje ceremonii oczyszczenia. Pięknie opisuje te zjawiska Claude Levi-Strauss w „Antropologii strukturalnej": „w ten sposób nastąpi przejście od banalnej rzeczywistości do mitu, od świata fizycznego do fizjologicznego, od świata zewnętrznego do wewnętrznego. I mitowi rozgrywającemu się wewnętrznie, pod osłoną stanu patologicznego i za pomocą stosownych metod, będzie dyktował warunki szaman".

Mezopotamia, kolebka naszej cywilizacji, położona w dorzeczu Eufratu i Tygrysu, była zamieszkała już około 10 000 lat p.n.e. Najstarszą cywilizację stworzyli Sumerowie. Ich spadkobiercami byli Babilończycy i Chaldejczycy. Dawni szamani zostali zastąpieni przez lekarzy, wróżbitów, zaklinaczy i pisarzy. Wszyscy oni musieli składać „przysięgę służbową" na wierność. Możemy też nawet mówić o rozwoju nauk medycznych. Leczenie, będące niegdyś domeną czarowników i szamanów, zaczynało być traktowane jako zawód. Często lekarze odsyłali chorych do egzorcystów czy wróżbitów, gdy nie umieli leczyć choroby. Magowie, kapłani, wróżbici i astrologowie prowadzili obserwacje nieba, stosowali liczne zaklęcia, modlili się do bogini leków i trucizn.

Egipt. Chyba najbardziej tajemnicza i skomplikowana wydaje się nam dziś magia egipska. Powstała ona na bazie wierzeń wspólnot plemiennych i totemizmu. Starożytni Egipcjanie nazywali swoją ziemię Kemet (Czarny Ląd), co Arabowie przekazali jako Al-Kimiyya (alchemia). Egipscy bogowie wywodzili się od zwierząt-totemów. Najważniejszym bóstwem był Horus, o głowie sokoła. Innymi znanymi magicznymi symbolami były kobra i sęp. Jednak dopiero potężny bóg słońca Ra jest kojarzony z początkami praktyk magicznych i ze wszystkimi późniejszymi systemami ezoterycznymi. Egipcjanie wierzyli w życie po śmierci, dlatego wznosili monumentalne grobowce dla swoich władców, mumifikowali też ciała faraonów, dostojników i świętych zwierząt. Magiczne zaklęcia i klątwy, stosowane podczas ceremonii pogrzebowych, były legalne – pomagały żywym i umarłym. Była też stosowana czarna magia, określana przez znawców tematu jako niska magia, która miała sprowadzać śmierć i nieszczęścia na tego, dla kogo była przeznaczona i odprawiana. Egipt był uznawany bardzo długo za krainę cudów, do której przyjeżdżali liczni starożytni wędrowcy, by zdobyć tu nauki. Zachowały się świadectwa, że takie podróże odbyli Hipokrates, Solon, Herodot, Pitagoras, Tales, Anaksymander i wielu innych. Zachowało się też wiele papirusów i zapisów w piramidach, świadczących o wysokim poziomie medycyny. I tu, podobnie jak w Mezopotamii, była ona wydzielona z praktyk magicznych. Lekarze jednak stosowali specjalne zaklęcia, które



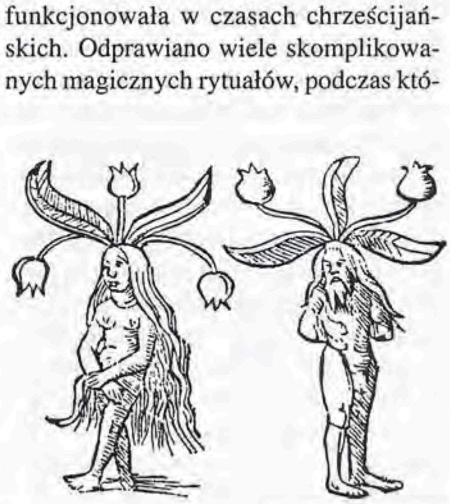
Autografia hetyckiego tekstu magicznego wg M. Popko „Magia i wróżbiarstwo u Hetytów"

wygłaszali w obecności chorego. Papirusy medyczne zawierały kompendium wiedzy dla setek pokoleń lekarzy. Nauką i magią zajmowali się kapłani – znali wiele zaklęć i formuł magicznych. Powszechnie stosowano amulety, figurki uzdrawiające i zapobiegające chorobom. Jednym z najbardziej czczonych świąt były misteria Izydy, które łączono z narodzinami słońca. Uważa się, że egipska magia jest najstarsza na świecie, a samych Egipcjan przez tysiąclecia uważano za „naród czarowników". Magię uważano za sztukę królewską. Jej patronem był Imenhotep. Praktykowanie magii było więc zgodne z prawem, karano tylko tych, którzy stosowali czarna magię. Przykładem może być proces kapłanów, którzy chcieli „rzucić czary" na Ramzeza III, korzystając z magicznych papirusów, przechowywanych w świątyniach. Przez długie wieki liczni czarownicy, magowie, wtajemniczeni kapłani i astrologowie zajmowali się magią.

Żydzi. Magia była wszechobecna w codziennym życiu, mimo że była surowo tępiona przez kapłanów, a potem przez rabinów. Stosowano ją najczęściej w sytuacji zagrożenia – noszono amulety ochronne, odprawiano egzorcyzmy, z których wiele przejęto od Babilończyków. Praktykowanie magii uważano za zbrodnię, a karą przewidzianą dla „winnych" było ukamienowanie. Żydzi znali również magię egipską. Ciekawym dokumentem jest „Testament Salomona", który zawiera opisy zaklęć stosowanych przy „uwalnianiu ludzi z opętania". Rozpowszechnione były kabała, wróżby, magia i numerologia. Żydowska kabała prawdopodobnie wywodzi się z magii egipskiej. Wywarła ona ogromny wpływ na wiele późniejszych systemów okultystycznych. Kabała oznacza po hebrajsku tradycję. Można powiedzieć, że jest żydowskim mistycyzmem, poszukiwaniem miejsca człowieka, próbą zrozumienia jego duszy, poszukiwaniem boskości. Jednocześnie są to mistyczne i magiczne praktyki, dostępne tylko dla nielicznych wybrańców. Wieki później, została ona opisana po raz pierwszy w znany nam dziś sposób przez Izaaka Ślepego (około 1160 – 1263). Dzięki nieustannym wędrówkom Żydów trafiła ona do wszystkich prawie krajów starego kontynentu.

Grecja. Samo słowo „magia" ma pochodzenie greckie, ale rdzeń słowa *magush* pochodzi od perskiego słowa, określającego wiedzę magów. Magami były osoby zajmujące się wiedzą tajemną, wtajemniczeni kapłani, którzy czcili święty ogień boga Mitry, astrologowie, dokonujący świętych obrzędów i rytuałów. Przyciągali oni pomoc sił nadprzyrodzonych do osób, które jej potrzebowały. Pliniusz w „Historii naturalnej" wymienia trzy szkoły magii. Za najstarszą uważa on szkołę perską, w której ogromną rolę odgrywał kult Mitry i nauki Zoroastra. Drugą szkołą była szkoła żydowska, młodsza od perskiej o tysiąc lat, która ukształtowała się pod wpływem tradycji egipsko-żydowskiej. Trzecią – była szkoła cypryjska. W starożytnej Grecji patronką magii była Hekate, która miała ogromną moc. Magowie byli w stanie zmusić demony, by służyły ludziom radą. Wywoływano duchy i podporządkowywano je woli maga. Powszechne były też wiara w amulety, moc spisywanych zaklęć, oraz wiara w przedmioty magiczne. Za najsłynniejszą czarodziejkę starożytności uważano Medeę. W VI w. p.n.e. za centrum nauk magicznych uważano miasto Hypate, w którym mieszkały słynne w całej Helladzie kobiety-czarodziejki. Zachowało się do dziś około 150 greckich dokumentów magicznych, z których kilkanaście było podręcznikami magii. Zachowały się również liczne tabliczki *defixiones,* na których wygrawerowano magiczne formułki i zaklęcia ochronne, oraz figurki *kotossoi,* które przekłuwano i pętano drutem, a potem umieszczano – śpiewając odpowiednio ponurą inkantację – na cmentarzach. Wróżono też na podstawie zachowania się zwierząt, badano wnętrzności zwierząt ofiarnych, analizowano unoszący się dym, wodę, sny, a również wywoływano duchy. O wielu tych praktykach, z dystansem i humorem, opowiada Lukian w „Miłośniku rzeczy fałszywych". Echa skomplikowanych rytuałów magicznych można było odnaleźć w misteriach eleuzejskich, które były pierwszym stopniem wtajemniczenia lekarzy. Były też misteria śmierci i zmartwychwstania, mające prawdopodobnie rodowód staroegipski, misteria terapeutyczne w świątyniach Asklepiosa, gdzie kapłanom towarzyszyły w terapii wytresowane węże i psy. Hipokrates był przełomową postacią dla medycyny. „Był człowiekiem niezwykłym. Jego główną zasługą było uwolnienie medycyny od wpływów teurgiczno-magiczno-świątynnych i ustawienie jej na podstawach racjonalnych" (Niżnikiewicz). Ale tradycja przypisywała samemu Hipokratesowi magię. Mówiono na przykład, że „ w stojącym na jego grobie ulu pszczoły produkowały miód uzdrawiający wszelkie choroby". W starożytnej Grecji pojawili się też aptekarze, którzy sprowadzali leki z całego ówczesnego świata. Przywożono je z Egiptu lub z Chin, wędrując słynnym „jedwabnym szlakiem". Jednocześnie jednak, różne wiedźmy i znachorki zbierały zioła, z których przygotowywały napoje miłosne, kosmetyki, leki, czy środki poronne.

Rzym. W antycznym Rzymie fascynacja magią i nienawiść do niej były wyjątkowo silne. Stare walczyło z nowym. W najdawniejszym okresie był rozpowszechniony już kult Westy, bogini ogniska domowego, oraz dobrych duchów przodków. Ogromną popularnością cieszyły się też wyrocznie, podobnie jak w Grecji, gdzie najsłynniejszą była wyrocznia w Delfach. Wyrocznie w Kume, w pobliżu Wezuwiusza, były znane w całym państwie rzymskim., np. Wyrocznia Zmarłych. Przepowiedni udzielała tam Sybilla. Była to słynna wyrocznia, która służyła państwu przez stulecia, a zbiór tych przepowiedni – *Carmina Marciana* – przechowywano na Kapitolu, w świątyni Jowisza. Niestety, spłonął w 83 r. p.n.e. Później, już w epoce katolickiej, wykorzystywano również proroctwa Etrusków. Tacyt w swoich „Kronikach", opowiada jak cesarz Klaudiusz bronił tradycji i sztuki wróżbiarskiej. Świątynie w Kume przez tysiąc lat przyciągały pielgrzymów, którzy chcieli poznać przyszłość. Ta pogańska wyrocznia świetnie funkcjonowała w czasach chrześcijańskich. Odprawiano wiele skomplikowanych magicznych rytuałów, podczas któ-



Drzeworyty roślin z dzieła Falimirza „O ziołach i mocy ich" wg „Encyklopedii wiedzy o książce"

Fragment pracy M. Cooleya „Wiedźmy"

rych odurzeni narkotykiem pielgrzymi przechodzili przez tajemne pomieszczenia i korytarze, by w końcu usłyszeć przepowiednie. Magia i astrologia miały ogromne wpływy w Rzymie, a prorocy i wieszcze cieszyli się ogromnym powodzeniem. Często też „pomagano" magii, używając wolno działających trucizn. Powszechnie stosowano amulety i kwadraty magiczne. Spisywano również wiele zaklęć ochronnych na tabliczkach *defixiones*. Popularnymi świętami były *Lemuria,* podczas których błagano złe duchy, by pozostały w podziemiach i nie nękały ludzi. W „Prawie 12 tablic", pochodzącym z około 450 r. p.n.e. po raz pierwszy wspomniano o magii. Magia była w antycznym Rzymie, tak jak medycyna i sztuka, częścią życia codziennego. Wyjątkiem były czasy Tyberiusza, który kazał przegnać wszystkich czarowników i wróżbiarzy. Niewątpliwie ciekawą postacią był Apolloniusz z Tyany, uważany za cudotwórcę, „określany przez historyków mianem maga egipskiego, czego nie prostował, twierdząc, że jest w stanie uciszać morze, zatrzymywać burze, zapobiegać huraganowym wiatrom" (Niżnikiewicz).

Spadkobiercami magii chaldejskiej, egipskiej, neoplatonistów i kabalistów stali się **różokrzyżowcy**, którzy byli tajnym stowarzyszeniem okultystycznym, założonym w XIV w. przez Christiana Rosenkreuza. Członkowie tego stowarzyszenia mogli stosować magię nieodpłatnie, by pomagać chorym. Ich spadkobiercy działają zresztą do dziś, starając się poznać sekrety natury i nauki.

Duże znaczenie miały i mają do dziś magiczne karty **tarota.** Trudno powiedzieć, czy pochodziły z Indii, czy przywiezione zostały przez Marco Polo z Chin. Do Europy trafiły już w XIII wieku i przez wiele stuleci były używane jako karty do gry. Dopiero w połowie XVIII w. odkryto ich magię i zaczęto używać do celów tajemnych. Tradycyjne talie nawiązują do XIV-wiecznych wzorów weneckich lub piemonckich. Warto tu jeszcze wspomnieć o tarocie indiańskim i kaszmirskim tarocie astrologicznym. Znawcy tematu twierdzą, że kart nie wolno nikomu pożyczać, a nawet nie wolno ich pozwolić dotknąć. Powinny też być traktowane z szacunkiem. Karty te symbolizują różne elementy ludzkiego doświadczenia, pomagają podjąć właściwe decyzje życiowe. Wiedza przekazywana przez karty tarota była wykorzystywana od bardzo dawna w tzw. wysokiej magii.

Warto wspomnieć też o starej magii celtyckiej, słowiańskiej, germańskiej, nie mówiąc już o tradycjach takich, jak staroindyjska, chińska, indiańska, tradycje afrykańskie i wiele innych. W tak krótkiej formie jest to jednak niemożliwe.

Dziś zauważa się renesans zainteresowania magią. **Wicca** to współczesna magia, której korzenie sięgają celtyckiej tradycji. Najważniejszą zasadą wicca jest *rede,* które w krótkiej formie brzmi: „Czyń, co zechcesz, bylebyś nikogo nie krzywdził", natomiast wersja rozbudowana zaczyna się od takich oto wskazówek:

„Przestrzegaj prawa, pełen miłości i ufności.
Żyj i daj żyć, bierz i dawaj.
Kreśl magiczny krąg,
by odstraszyć niepożądane moce..."

(A. Devine, „Magia z czterech stron świata").

Wiccanie praktykują swoją magię w samotności albo w klasycznych gardneriańskich zgromadzeniach, które skupiają po 13 członków, spośród których wyznacza się najwyższego kapłana i kapłankę. Zajmują się tylko białą magią, nie potrzebując żadnego wtajemniczenia. Przedmiotem ich zainteresowań są różne zaklęcia, takie jak zaklęcia miłosne, przyciągania, uwodzenia, odpędzania, zaklęcia pieniężne, magiczne życzenia. Nieobca jest im krystalomancja, gdyż wróżąc z luster, wody, świec, czy z dymu mogą poznać przyszłość i przeszłość. Są znawcami rytuałów magicznych, otwarcia kręgu, równowagi i koncentracji, rytuałów ochronnych i rytuałów oczyszczania. Znają układy i znaczenie run, a w swojej magii stosują różne zioła, kadzidła i zapachy, kamienie szlachetne i numerologię.

Inaczej sprawa wygląda z czarownicami. Przez całe wieki cieszyły się bardzo złą sławą. Wiele z nich straciło życie za uprawianie magii – szacuje się, że około 6 milionów czarownic spalono na stosach.

A. Devine („Zaklęcia, rytuały, wróżby, księga cieni") daje wskazówki, jak zostać czarownicą: „Stając się czarownicą, nie trzeba odrzucać dotychczasowego życia i nie oddziela się swojego życia duchowego od życia codziennego – a raczej dąży się do stosowania zasad sztuki we wszystkim, co się robi na co dzień". A co robić, by zostać czarownicą? Należy nauczyć się medytacji, wewnętrznego wyciszania, trzeba „pozostać na bieżąco z naturalnym rytmem naszego świata", poznać fazy księżyca, równonoce, księżycowy zodiak. Bardzo ważny jest też kontakt z naturą. Należy również nabyć stosowne akcesoria, prowadzić *grimuar,* czyli księgę cieni, oraz brać udział w sabatach *Samhain, Yule, Imbolc, Ostara, Beltane, Litha, Lammas i Mabon.* Wówczas adept sztuki wiedzy tajemnej ma pewne szanse, by powtórzyć niewiarygodny wyczyn pewnej zaradnej czarownicy, nijakiej Leny Skanind z Norwegii. Jak doniosła prasa (Onet.pl – Wiadomości z dnia 24.10.2003 r.) „Norweska czarownica, mająca problemy z utrzymaniem się ze swojej działalności, otrzymała państwową zapomogę. Pieniądze mają jej pomóc w produkcji i sprzedaży eliksirów dla zagubionych dusz i niepewnych swojej potencji narzeczonych stających na ślubnym kobiercu. Lena wie, że dla czarownic sprzedawanie swoich usług, to pewne tabu." Oddajmy jej głos: „Jestem zwykłą czarownicą z oryginalnym pomysłem na biznes [...] chcę jedynie wnieść trochę magii w życie zwykłych ludzi. W końcu magia jest wszędzie, tylko nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę".



Fragment pracy M. Cooleya „Wiedźmy"

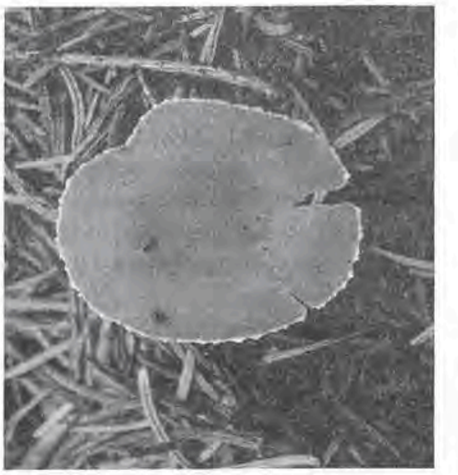
Niewiarygodne? Ale prawdziwe! I to nie za siedmioma górami, siedmioma morzami i siedmioma lasami, jak to drzewiej bywało.

Iwona Alaaie
Biblioteka Główna

Pożyteczne pożary lasu



Wątrobowiec – porostnica wielokształtna (Marchantia polymorpha), wyrosły w miejscu wypalania gałęzi, Dolina Wężowa, oddz. 110a leśn. Renuszewo, 23.08. 2003 r.



Garstnica wypaleniskowa (Geopyxis carbonaria), Dolina Wężowa, 23.08. 2003 r.

Pożary lasów kojarzone są zwykle ze stratami materialnymi, związanymi z ubytkiem surowca w postaci drewna oraz z kosztami gaszenia palących się drzewostanów. Jednak gdy nieco głębiej wnikniemy w owo zagadnienie, to okazuje się, że pożary są odwiecznym naturalnym czynnikiem, mającym istotny wpływ na sukcesję ekologiczną leśnych ekosystemów (chodzi o pożary wywołane siłami przyrody, np. uderzeniem pioruna, a nie o bezmyślne podpalenia lasów gospodarczych). W Ameryce Północnej wiele gatunków przystosowało się do okresowych pożarów, np. sosna Banksa (*Pinus banksiana*), u której szyszki otwierają się wyłącznie dzięki wysokiej temperaturze wywołanej obecnością ognia; stąd drzewo to otrzymało inną potoczną nazwę – „sosna ogniowa". Sosnę tę można sporadycznie napotkać m.in. w Lasach Oliwskich oraz wypatrzyć w ogrodzie botanicznym Wydziału Farmacji Akademii Medycznej w Gdańsku, mieszczącym się przy ul. Generała Józefa Hallera.

Leśne pogorzeliska oraz miejsca po ogniskach są siedliskami kilkunastu wąsko wyspecjalizowanych organizmów, niezwykle interesujących pod względem ekologicznym. Egzystują tam przykładowo: wątrobowiec porostnica wielokształtna (*Marchantia polymorpha*) oraz szereg antrakofilnych (węglolubnych) gatunków wielkoowocnikowych grzybów. Wśród nich są taksony należące do klasy workowców (*Ascomycetes*), m.in. kustrzebka fioletowawa (*Peziza violacea*) i garstnica wypaleniskowa (*Geopyxis carbonaria*). Klasę podstawczaków reprezentują m.in. łuskwiak wypaleniskowy (*Pholiota carbonaria*), popielatek czarniawy (*Tephrocybe atrata*) i szaroblaszek zgliszczowy (*Faerberia carbonaria*), rzadki przedstawiciel rzędu żagwiowców. Z wyjątkiem ostatniego taksonu, wszystkie wymienione powyżej grzyby zostały stwierdzone w Lasach Oliwskich (Trójmiejski Park Krajobrazowy), w miejscach wypalania gałęzi i pniaków – przede wszystkim w monokulturach z dojrzałymi drzewostanami świerkowymi lub w drzewostanach liściastych zawierających domieszkę świerka pospolitego. Dotąd nie zaobserwowano tu pospolitego workowca – *Pyronema confluens*, tworzącego na zgliszczach różowoczerwone kobierce, składające się z wielu niewielkich miseczek. Myląca może być nazwa grzyba: zgliszczak pospolity (*Ustulina deusta*). Gatunek jedynie wyglądem przypomina zwęglony substrat, lecz nie jest związany z pogorzeliskami. Tworzy cienkie, mocno spłaszczone – najpierw popielate, później czarne podkładki na murszejących pniakach należących do drzew liściastych.



Sosna Banksa (Pinus banksiana) – złamana przez wiatr gałąź z szyszkami, Wąwóz Karoliny w Lasach Oliwskich, 1.05.2003 r.

Wśród antrakofilnych grzybów Lasów Oliwskich najczęściej napotkamy garstnicę wypaleniskową, zaliczaną do gatunków nieczęsto występujących w kraju. Jej młode pomarańczowobrązowe owocniki wpierw mają kształt czarkowaty, a następnie talerzykowaty. Brzeg owocnika otoczony jest białą obwódką, co przydaje mu walorów estetycznych. Kustrzebka fioletowawa przybiera kolor, który zawarty jest w jej nazwie, polskiej i łacińskiej – ale tylko w początkowym okresie jej rozwoju, kiedy to ma kształt miseczki; później ów kolor zmienia się na brązowawy.

Gatunkiem, który preferuje wypaleniska, jest przyczepka falista (*Rhizina undulata*). W młodości jej owocnik jest wypukły, gładki, kasztanowobrązowy, otoczony biała obwódką. Następnie, zgodnie z nazwą gatunkową, owocnik ulega zmarszczeniu, pofałdowaniu. Przytwierdzony jest do podłoża sznurami grzybni – rizoktonami, które przypominają korzenie; stąd synonimiczna nazwa rodzaju grzyba – korzenica. W Polsce przyczepka niszczy siewki i młode egzemplarze drzew w wieku 2-5 lat. Dlatego podręczniki fitopatologii leśnej odradzają wypalania drewna w miejscach zakładania nowych kultur drzew iglastych, przede wszystkim sosny pospolitej, a także świerka i modrzewia. Ciekawe, że egzotyczna



Kustrzebka fioletowawa (Peziza violacea), oddz. 124 leśn. Matemblewo, 28.08.2003 r.

daglezja zielona, często sadzona w Lasach Oliwskich, jest odporna na działanie tego patogenu. W anglojęzycznym piśmiennictwie fitopatologicznym funkcjonuje termin: Rhizina root disease (w wolnym tłumaczeniu: choroba upraw wywołana przez przyczepkę). W Wielkiej Brytanii patogen atakuje drzewostany starsze, 20-30 letnie, zwłaszcza te z udziałem świerka sitkajskiego (*Picea sitchensis*), sprowadzonego tam z Ameryki Północnej. Odnotowano wyjątkowe przypadki pasożytowania przyczepki na drzewach liściastych.

Czy wypalanie odpadów drewna na terenie Lasów Oliwskich jest szkodliwe, czy też pożyteczne? Na tak postawione pytanie trudno odpowiedzieć jednoznacznie. O ile działalność ta dotyczy niewielkiego obszaru (i nie przeistacza się w wielkopowierzchniowe pożary), to można ją uznać za sprzyjającą rozwojowi lasu. Bez obecności miejsc po ogniskach, egzystencja wymienionych powyżej antrakofilnych gatunków grzybów byłaby niemożliwa. Zauważono, że w trakcie palenia ognisk często dochodzi do niszczenia płytko zagłębionych w podłożu korzeni świerków. Nierzadko, wskutek bliskości drzew, dochodzi do tzw. oparzeliny kory i pojawia się martwica w żywej części drzewa. Niebawem miejsca te ulegają infekcjom przez pasożytnicze grzybowe ksylobionty, np. w przypadku buka jest nim hubiak pospolity lub pniarek obrzeżony*. Zjawisko pasożytnictwa grzybów na drzewach może cieszyć przyrodnika, bo leśne środowisko jest wówczas bliższe naturalnemu, ale na pewno źle jest oceniane przez gospodarza lasu. Dla niego to ewidentna strata surowca drzewnego, a zatem i mniejszy zysk z hodowli drzew. W Lasach Oliwskich straty w uprawach spowodowane przez przyczepkę falistą są symboliczne, co wynika m. in. ze składu gatunkowego drzewostanów: dominuje tu przede wszystkim buk pospolity. Pozostałe gatunki saprobiontycznych grzybów pozytywnie oddziaływają na leśne uprawy i przy okazji wzbogacają okoliczną mikobiotę. Jest to równoznaczne z powiększeniem się lokalnej różnorodności biologicznej.

Niepokojącym zjawiskiem w Lasach Oliwskich jest permanentne pozostawianie przez robotników leśnych niedogaszonych ognisk. Taki proceder miał m. in. miejsce w sierpniu 2003 roku dwukrotnie: w oddz. 130d i 124b leśnictwa Matemblewo. Całe szczęście, że wystąpiły obfite opady deszczu, które oddaliły możliwość wystąpienia pożaru lasu, przede wszystkim ściółki, na większym obszarze**.

Zamieszczone w niniejszym artykule zdjęcia owocników antrakofilnych grzybów zostały wykonane na obszarze dwóch leśnictw: Matemblewo i Renuszewo, gdzie od kilku lat prowadzone są intensywne zabiegi trzebieży oraz zrywki drewna.



Młode owocniki przyczepki falistej (Rhizina undulata), Dolina Wężowa, 23.08.2003 r.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
Pomorskie Koło Terenowe
Klubu Przyrodników

Fot.: autor

* Postaram się kiedyś opisać na łamach „Pisma PG" historię naturalną pewnego buka, który uległ działaniu ognia; mam kilka interesujących fotografii związanych z tym zamierającym przez lata drzewem.

** Pracując społecznie w Straży Ochrony Przyrody, latem 1994 roku brałem udział w akcji gaszenia płonącego torfowiska w rejonie Matarni (otulina TPK). Przekonałem się, jak skomplikowane jest to zadanie i doceniłem wówczas pracę strażaków – ich trud i poświęcenie oraz profesjonalizm.



Antrakofilny gatunek kustrzebki (Peziza praetervisa), oddz. 144 leśn. Matemblewo, 18.08.2003 r.



Łuskwiak wypaleniskowy (Pholiota carbonaria), oddz. 130 leśn. Matemblewo, 25.08.2003 r.

Z kalendarza JM Rektora

Październik 2003

✔ ***15 października.*** *Ratusz Staromiejski w Gdańsku. Na zaproszenie Marszałka Województwa Pomorskiego Jana Kozłowskiego Rektor wziął udział w Pierwszym Regionalnym Forum Strategii Innowacyjności dla Województwa Pomorskiego.*

✔ ***17 października.*** *Rektor przyjął w swoim gabinecie niemieckiego profesora Wolfganga G. Deurera wraz z rodziną, autora książki „Gdańsk i jego kościoły".*

✔ ***17 października.*** *Dwór Artusa w Gdańsku. Prezentacja polskiego przekładu książki prof. Wolfganga G. Deurera pt. „Gdańsk i jego kościoły".*

✔ ***17 października.*** *Polska Filharmonia Kameralna w Sopocie przy Operze Leśnej. Uroczyste jubileuszowe spotkanie z okazji 10-lecia działalności Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku.*

✔ ***20 października.*** *Uroczyste oddanie do eksploatacji superkomputera (klastra komputerowego) o największej mocy obliczeniowej w Polsce i jednego z największych w Europie. W spotkaniu m.in. udział wzięli:*

- *Stacy Smith – wiceprezydent INTEL Corporation z USA*
- *Wojciech Szewka – podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Informatyzacji*
- *Andrzej Widerszpil – prezes firmy OPTIMUS.*

✔ ***24-26 października.*** *Politechnika Świętokrzyska w Kielcach. Konferencja Rektorów Polskich Uczelni Technicznych (KRPUT).*

✔ ***27 października.*** *Sala 300 w Gmachu Głównym Politechniki Gdańskiej. Otwarcie firmy symulacyjnej na Politechnice Gdańskiej.*

✔ ***28 października.*** *Audytorium Katedry Wysokich Napięć i Aparatów w Gdańsku-Wrzeszczu. Uroczystość nadania audytorium Katedry Wysokich Napięć i Aparatów Elektrycznych imienia Profesora Tadeusza Lipskiego.*

✔ ***28 października.*** *Ratusz Staromiejski w Gdańsku. Spotkanie z prof. Edmundem Kotarskim – Laureatem Nagrody Heweliusza za rok 2002.*

✔ ***29 października.*** *Rektor przyjął w swoim gabinecie prezesa firmy Intel pana Marka Harrisa – szefa europejskich programów edukacyjnych Intela. W spotkaniu wzięli udział również:*

- *Leszek Pankiewicz – prezes Intel Technology Poland*
- *prof. Andrzej Stepnowski – prorektor ds. nauki PG*
- *prof. Henryk Krawczyk – dziekan Wydziału ETI PG*

✔ ***29 października.*** *Dwór Artusa w Gdańsku. Na zaproszenie Rady Miasta Gdańska Rektor wziął udział w uroczystym wręczeniu Gdańskiej Nagrody im. Ericha Brosta partnerstwu hanzeatyckich miast Gdańska i Bremy.*

✔ ***30 października*** *Sala posiedzeń w Nowym Ratuszu w Gdańsku. Sesja Rady Miasta Gdańska, na której została podjęta uchwała w sprawie ustanowienia roku 2005 Rokiem Politechniki Gdańskiej.*

✔ ***30 października.*** *Sala kolegialna w Gmachu Głównym Politechniki Gdańskiej. Rektor przyjął delegację z Rouen z Prezydentem Górnej Normandii na czele.*

Listopad 2003

✔ ***4 listopada.*** *Sala Biała Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku. Kolacja z okazji wizyty w Polsce pana Francisco Campsa Ortiza, premiera Autonomicznego Rządu Walencji.*

✔ ***5 listopada.*** *Sala Senatu Politechniki Gdańskiej. Rektor przyjął delegację firmy Telecom z Karlskrony w Szwecji.*

✔ ***9 listopada.*** *Dwór Artusa w Gdańsku. Debata nt.: „Prawda historii – balast czy szansa?"*

✔ ***11 listopada.*** *Uroczystości związane z 85. rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości:*

- *składanie wiązanek pod tablicą J. Piłsudskiego*
- *składanie wieńców pod pomnikiem Jana III Sobieskiego*
- *przemarsz do Bazyliki Mariackiej*
- *msza św. w Bazylice Mariackiej koncelebrowana przez Metropolitę Gdańskiego ks. abp Tadeusza Gocłowskiego.*

✔ ***13 listopada.*** *Rektor przyjął w swoim gabinecie profesora Wielanda Ramma z Kaiserslautern (Niemcy).*

✔ ***19 listopada.*** *Intel Technology Poland w Gdańsku. Rektor wziął udział w spotkaniu na zaproszenie prezesa Intel Technology – Leszka Pankiewicza.*

✔ ***21-22 listopada.*** *Politechnika Gdańska. Polskie Forum Akademicko-Gospodarcze na temat „Wartość człowieka lojalnego. Etyka w biznesie, nauce i edukacji".*

✔ ***22 listopada.*** *Auditorium Novum Politechniki Gdańskiej. Koncert Flamenco organizowany przez Konsula Honorowego Hiszpanii w Gdańsku – Macieja Dobrzynieckiego oraz Rektora PG profesora Janusza Rachonia.*

✔ ***24 listopada.*** *Sala Kongresowa Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku. Uroczystość nadania godności doktora honoris causa profesorowi Januszowi Czerwińskiemu oraz Kazimierzowi Górskiemu.*

✔ ***25 listopada.*** *Biurowiec Elbrewery Co. Ltd. w Elblągu. Posiedzenie Rady Rektorów Województwa Pomorskiego z przedstawicielami władz samorządowych województwa pomorskiego i warmińsko-mazurskiego oraz członkami Polskiego Klubu Ekobiznesu.*

Piotr Markowski
Rektorat

Nowy Parlament Studentow PG

14-15 listopada 2003 r.



Damian Kuźniewski nowym przewodniczącym Samorządu Studenckiego



Ustępujący przewodniczący Tomasz Klajbor wita uczestników spotkania



Prezydium Parlamentu (Tomasz Klajbor i Tomasz Gotowicz) przekazuje nowemu przewodniczącemu insygnia władzy



My też otrzymaliśmy mandaty

Czytaj na str. 10



JM Rektor PG na jubileuszowym raucie u Prezydenta Lecha Wałęsy w Gdańsku - Oliwie (30 września 2003 r.)



Spotkanie po latach z Tadeuszem Drozdą, liderem słynnego kabaretu studenckiego z Wrocławia "ELITA", który w 1969 r. podczas Ogólnopolskiego Przeglądu Kabaretów i Teatrzyków Studenckich na Politechnice Gdańskiej uzyskał pierwsze miejsce (wówczas nasz Teatrzyk Studencki ΓΙ został laureatem). Rektor prof. Janusz Rachoń jest Honorowym Prezesem "ELITY". Na zdjęciu podczas spektaklu "Herbatka u Tadka", nagrywanego 27 września 2003 w Klubie Myśliwskim w Gdańsku-Wrzeszczu.

Fot. Antoni Filipkowski